



***Kelly Hunter***



***Bezsenne noce***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przyświecała mu skromna ambicja: przeżyć ten wieczór.

Na przyjęcie zaręczynowe swojego brata Jacob Bennett stawiał się w szytym na miarę czarnym smokingu i śnieżnobiałej koszuli ze złotymi spinkami u mankietów. Pomimo wewnętrznego napięcia tradycyjnie roztaczał wokół siebie aurę nonszalancji. Mogło go jedynie zdradzić przyspieszone bicie serca oraz szybszy i płytszy niż zazwyczaj oddech.

- Gdzie się podział twój krawat? - zapytała jego przyszła bratowa, częstując go krytycznym spojrzeniem. - Ten, który ci wcześniej dałam. Ten, którego nie masz na sobie.

- Śpi zwinięty w kłębek w mojej kieszeni - mruknął niskim głosem. - Jest mu tam dobrze.

Madeline Mercy Delacourte zrobiła zafrasowaną minę.

- Coś z nim nie tak?

- Maddy, ten krawat jest liliowy. - Lubił Madeline. Naprawdę ją lubił. Skłaniał się jednak ku teorii, że ostatnio kompletnie postradała zmysły.

- Nie bez powodu jest liliowy, mój drogi. Ma za zadanie nieco złagodzić twój wizerunek. Masz tak marsową minę, że lada moment wrażliwsi z moich gości uciekną stąd z krzykiem.

- Robię, co mogę - mruknął półgębkiem. - A ty łaskawie przestań demoralizować mojego wychowanka.

- Masz na myśli Po? - zdziwiła się Maddy.

- A cóż takiego się stało?

- Chcesz wiedzieć, co znalazłem dziś pod prysznicem w dojo<sup>1</sup>?

<sup>1</sup> dojo - szkoła, w której naucza się sztuk walki (przyp. tłum.)

- Nagą Angelinę Jolie?

- Gorzej. - Zgromił ją wzrokiem i zdradził:

- Mydło.

- Och, zgroza! - odrzekła teatralnie.

- Mydło lawendowe - doprecyzował, cedząc przez zęby. - Widnieją na nim wytłoczone podobizny pulchnych, nagich aniołków. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie sygnały wysyła to mydło wszystkim czarnym pasom, które ćwiczą w moim dojo?

Z ust Madeline wydobył się tłumiony chichot. Ewidentnie zdawała sobie sprawę. A ja, pomyślał Jacob, ewidentnie muszę jeszcze popracować nad swoją groźną miną i gromiącym spojrzeniem.

- Po zeznał, że dostał je od ciebie - dodał oskarżycielskim tonem.

Madeline tym razem wybuchła gromkim śmiechem.

- Wybacz, Jacob - rzuciła, uspokoiwszy się wreszcie. - Czyżbyś sugerował, że to malutkie, śliczne mydełko jest w stanie niczym bomba obrócić w ruinę twoją świątynię testosteronu?

- Dojo nie jest odpowiednim miejscem dla tego typu przedmiotów - odrzekł stanowczym tonem. - Porozmawiaj z Po. Ale pamiętaj, rozmowa musi być poważna. Zrobisz to?

- Aby tobie odebrać tę przyjemność? Byłabym wstrętną jędzą, a nie dobrą bratową.

- Przeciwnie. Byłabyś uprzejmą i pomocną osobą.

- Och, to cała ja! - zachnęła się. - Urodzona samarytanka... Mam pomysł. Zawrzyjmy układ. Jeśli ty w ciągu następnych dwudziestu minut raczysz się uśmiechnąć, ja przedyskutuję z Po sprawę siejącego zgorszenie mydła. Zgoda?

- Zgoda - odparł natychmiast.

Po chwili na ustach Jacoba rozkwitł czarujący uśmiech.

- O, do diabła! Nie spodziewałam się tego - jęknęła Madeline.

Jego uśmiech jeszcze bardziej się poszerzył. Maddy rzuciła mu oburzone spojrzenie i odplynęła w kierunku eleganckiego tłumu zebranego w tej luksusowej restauracji w hotelu Delacourte usytuowanym w samym sercu Singapuru.

Wieczór zaręczynowy Madeline i Luke'a był szalenie ekskluzywną imprezą; w powietrzu czuć było zapach wielkich pieniędzy. Madeline była kobietą oszałamiająco bogatą, zatem ludzie oczekiwali od niej, że przyjęcie będzie stało na odpowiednio wysokim poziomie. Wchodzący do sali restauracyjnej goście z wrażenia wstrzymywali oddech

albo uśmiechali się z aprobatą, w zależności od tego, na którym szczeblu hierarchii społecznej akurat się znajdowali. Ci bardzo bogaci zaliczali po prostu kolejną wystawną imprezę. Ci aspirujący liczyli na drogie drinki, pyszne przekąski, a przede wszystkim liczne okazje do zawarcia intratnych znajomości. Singapur, to tętniące życiem, błyskawicznie rozwijające się miasto-państwo, jest obok Hongkongu najlepszym miejscem w całej Azji do robienia kariery i zbijania fortuny.

Rodzeństwo Bennettów stawilo się w komplecie wraz ze swoimi partnerami życiowymi. Z Sydney przylecieli Tristan i Erin. Z Londynu Hallie z Nickiem i ich miesięczną córeczką, a z Grecji - Serena i Pete. Podczas gdy Serena ruszyła śmiało integrować się z resztą gości, Pete zmaterializował się nagle u boku Jacoba.

Czy mają mnie za idiotę? - pomyślał Jacob z irytacją. Czy myślą, że nie zauważyłem, jak dwoją się i troją, by mnie ciągle osłaniać? Pilnują, żebym ani przez chwilę nie stał sam. Na zmianę pełnią przy mnie wartę. Sondaż, w jakim jestem humorze.

Jakby się bali, że zaraz się rozlecę na milion kawałków albo wybuchnę niczym granat.

Przyprawiało go to wszystko o coraz silniejszy ból głowy.

- Posłuchaj - rzekł do Pete'a, zerkając odruchowo na kolejną grupkę gości, którzy wkroczyli do restauracji. - Nic mi nie jest. Wszystko jest pod kontrolą. Poza tym jej tu nawet nie ma. Pewnie się nie zjawi.

- Chciałbym, żebyś miał rację - westchnął ciężko Pete. - Niestety, Jianne właśnie przysłała, razem ze swoją ciocią i wujkiem. Pierwszy raz w życiu widzę tych państwa, ale pasują do rysopisu, który podał Luke.

Jianne.

Jianne Xang-Bennett, żona Jacoba, z którą od wielu lat był w separacji. Niedawno przeprowadziła się do Singapuru. Madeline spotkała się z nią i, o zgrozo, zapalała do niej szczerą sympatią. Co gorsza, wujek Jianne był głównym partnerem biznesowym Madeline.

- Napijesz się piwa? - zapytał Pete.

- Nie.

- A czegoś mocniejszego?

- Później. - Poczul na karku dziwne ukłucie, któremu towarzyszyło pieczenie.

Wiedział, co to znaczy: ona na niego patrzy. Niemal się odruchowo odwrócił, by rzucić na nią okiem, sprawdzić, jak wygląda, jak bardzo się zmieniła w ciągu tych dwunastu lat... Zapanował jednak nad tym impulsem, tak samo jak nad pokusą wypicia alkoholu dla kurażu. Pete zerknął bratu przez ramię.

- Patrzy w naszą stronę.

A więc nie myliłem się, pomyślał Jacob. Wciąż czuł na plecach jej wzrok. Po chwili jednak to doznanie ustąpiło.

- Teraz Madeline prowadzi ją w stronę Hallie i jej dzidziusia - relacjonował Pete. - Dlaczego wszystkie kobiety mają fioła na punkcie dzieci?

- I kto to mówi? Facet, któremu dzisiaj trzeba było obcęgami wrywać z objęć siostrzenicę? Dodajmy, że mała spała u ciebie ponad godzinę...

- Zazdrość przez ciebie przemawia, braciszku. Zasnęła u mnie, a nie u ciebie, i to cię boli! - odgryzł się Pete. W tle rozbrzmiały salwy kobiecego śmiechu i damski świergot. - Jianne poznaje bliżej naszą siostrzenicę. Technicznie rzecz biorąc, jest to również jej siostrzenica. Nie chcesz rzucić okiem na tę słodką scenkę?

- Nie chcę - warknął.

Wbrew tej deklaracji odwrócił się i spojrzał, a po chwili przeklął swoją chwilową słabość. Nie był przygotowany na to, co zobaczył. Upływ lat nie odbił się na aparycji Jianne. Jej uroda wciąż zapierała mu dech w piersiach. Przyjrzał jej się uważniej. Tak, bezdyskusyjnie nadal była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. Idealna, alabastrowa cera, bujne, lśniące włosy, szczupła sylwetka oraz ta zniewalająca aura słodkiej niewinności, na którą wciąż nie potrafił się uodpornić. Na tym nie kończyły się jej atuty. Jianne Xang pochodziła z rodziny, której fortuna była tak ogromna, że trudno było ją nawet oszacować. Ot, taki tam drobiazg, o którym Jianne raczyła wspomnieć dopiero po ślubie z Jacobem. Twierdziła, że wcześniej wypadło jej to z głowy.

Rzecz jasna, Jacob nie miał nic przeciwko jej bogactwu. Szkopuł w tym, że gdyby wiedział, do jakiego życia przywykła jego piękna narzeczona, dwa razy by się porządnie zastanowił, zanim poprosiłby ją o rękę. Była zbyt delikatna i przywykła do wygod, by czuć się komfortowo w domu pełnym jego nadpobudliwego, uciążliwego rodzeństwa;

zbyt spokojna i łagodna, by dać sobie radę z surowymi emocjami, które kierowały zachowaniem wszystkich Bennettów, łącznie z jej mężem. To wszystko ją przytłoczyło.

Cudem wytrzymała z nami tak długo, skonstatował ponuro.

Obserwował teraz w milczeniu, jak Layla, leżąca na rękach u Hallie, macha piąstkami w stronę Jianne, na której przypominających płatki róży ustach rozkwitł uśmiech. Hallie coś powiedziała, Jianne uniosła wzrok, spojrzała na nią zdumiona i pokręciła głową, jakby mówiła „nie”. Nie wiedział, jak brzmiało pytanie.

Wiedział natomiast, że powinien przestać na nią patrzeć. Teraz. Nie, jeszcze nie. Jeszcze chwilę...

W tym jednak momencie Jianne spojrzała na niego swoimi niesamowitymi oczami. Były ciemne jak noc, głębokie jak ocean, tylko odrobinę skośne, co zawdzięczała swojej babci, która na zewnątrz była w połowie Brytyjką, lecz w środku w pełni Chinką. Dokładnie tak jak Jianne. Uśmiech, który zagościł na jej twarzy dzięki malutkiej Layli, nagle przygasł. Jacob stał z kamienną twarzą. Stojący nadal u jego boku Pete jęknął żałośnie. Nagle na linii ognia pojawił się Luke, dzierżąc w rękach sok pomarańczowy dla Hallie oraz szampana dla innych gości. Pełnił rolę skwapliwego gospodarza czy może celowo osłaniał brata? Jacob nie roztrząsał tego dylematu. Najważniejsze, że manewr Luke'a pozwolił mu oderwać oczy od Jianne, odwrócić się i odetchnąć.

Jak długo będzie musiał znosić to przeklęte przyjęcie? Kwadrans, pół godziny? Jeszcze zanim zjawiała się Jianne, cierpiał niewysłowione katusze. Czuł się wyobcowany w tej krainie ostentacyjnego bogactwa i tak słodkiej, że aż mdlącej galanterii. Był niczym dzikie zwierzę, które marzy tylko o tym, by uciec z klatki, w której zostało wbrew swojej woli zamknięte.

Jego wzrok powędrował ku ogromnym oknom. Żałował, że nie posiada skrzydeł. Z dziką rozkoszą i wielką ulgą zerwałby się do lotu i wyfrunął na wolność, odleciał daleko stąd... Zejdz na ziemię, zganił się w myślach. Spojrzał w kierunku drzwi, przez które wchodził i wychodził obsługujący gości personel. Nie, nie mógł ukradkiem zdezerterować. Gardziłby sobą, gdyby się zachował jak ostatni tchórz.

Musiał stawić czoło Jianne. Zamienić z nią parę słów. Rzucić grzecznościowe „jak się masz?” oraz szczerze „wyglądasz świetnie”. Pogadać o pogodzie. O czymkolwiek. A

potem zada jej pytanie, które od tak dawna go dręczyło. Nie odejdzie, dopóki nie uzyska odpowiedzi.

Już w kilka sekund po wejściu do restauracji zauważyła, że stawili się w komplecie. Oni. Ci, o których bała się nawet myśleć. Bennettowie. Kiedyś próbowała ich traktować jak własne dzieci. Opiekować się nimi. Nic z tego nie wyszło... Wszyscy znajdowali się teraz w tym pomieszczeniu. Dzikie Plemię, jak zwykła ich niegdyś w myślach nazywać. Wielka sala przyprawiła ją nagle o napad klaustrofobii. Jianne żyła nadzieją, że upływ czasu wszystko zmienił i spotkają się w tym gronie nie jako wrogowie, lecz starzy znajomi. Niestety, tak się nie stało. Dostrzegła, jak na jej widok Bennettowie spoglądają na siebie znacząco, przesyłają sobie milczące sygnały, zmieniają szyk, by chronić i osłaniać najstarszego i najważniejszego z nich.

Jacoba.

Jej pierwszą miłość. Mężczyznę, któremu Jianne niegdyś ofiarowała swoje ciało, duszę i serce. Jej męża, z którym nie widziała się od dwunastu lat.

Nikt z tu obecnych nie miał bladego pojęcia, jak trudne, diabelnie trudne było dla niej przestąpienie progu tej sali, z pozornym spokojem na twarzy. Czuła się jak struchlały ze strachu zajacek, który wszedł do pomieszczenia pełnego krwiożerczych tygrysów i marzy tylko o tym, by cudem przeżyć... Zamknęła oczy, nappełniła płuca powietrzem, spokojnie wypuściła je ustami i uniosła powieki. Kątem oka upewniła się, że wujek i ciocia nadal jej towarzyszą. Ułożyła usta w uprzejmy uśmiech, gdy podeszła do nich Madeline. Najpierw przywitała się z wujem i ciocią Jianne, a potem przytuliła ją samą z zadziwiającą czułością.

- Wyglądasz bosko - pochwaliła ją Madeline.

- Dziękuję.

Jianne miała na sobie długą do samej ziemi sukienkę bez ramiączek w kolorach kości słoniowej i krwistej czerwieni, uszytą z najznakomitszego jedwabiu. Podczas zakupu pomyślała, że to kreacja dobra dla ekstrawertyków, a nie szarych myszek takich jak ona. Ekspedientka przekonywała ją jednak, że włożenie takiej sukni gwarantuje przyływ pewności siebie. Niestety nie miała racji.

- Nie powinnam była przychodzić - mruknęła, wyraźnie speszona. - To nie był dobry pomysł...

- Zostań, Jianne - poprosiła Madeline łagodnym głosem. - Moim zdaniem to był wyborny pomysł. Chodź, przedstawię cię najnowszemu wojownikowi z klanu Bennetów. Wujkowie nadal nie mogą się otrząsnąć z szoku. - Po chwili Maddy dodała z promiennym uśmiechem: - To... dziewczynka!

Layla była przeuroczym, ślicznym jak laleczka szkrabem z szafirowymi oczami, porcelanową cerą i burzą kasztanowych włosów. Uśmiechnęła się, demonstrując rozbrajający brak zębów, i wepchnęła sobie rączkę do ust.

- Laylo, poznaj swoją ciocię, Jianne - szepnęła Hallie do dziecka. Jianne nie spodziewała się z jej strony tak ciepłego przyjęcia. Po chwili Hallie zapytała: - Chciałabyś potrzymać Laylę?

- Ja? - zdumiała się. - Tak. To znaczy, nie! To znaczy... a co będzie, jeśli się rozplacze? - Oczami wyobraźni ujrzała taką oto scenę: Layla wyje wniebogłosy, podczas gdy wujkowie dziecka, z twarzami wykrzywionymi czystą nienawiścią, powoli otaczają wredną „ciocię”, o której istnieniu pewnie woleliby zapomnieć. - Twoi bracia mnie zlinczują.

- Och, bez obaw! Nie pozwolilibym im na to - odrzekła Hallie, gromiąc wzrokiem co najmniej dwóch z nich. - Przyrzekli, że będą dzisiaj grzeczni. Na sali są zresztą siły porządkowe, w skład których wchodzi kilka młodych, zdrowych żon. Chłopaki nie mają szans z naszą paczką.

Jianne, podniesiona nieco na duchu, rozejrzała się po sali i niestety doszła do wniosku, że zapewnienia Hallie to przejaw bezpodstawnego optymizmu. Przyczajony pod oknem Tristan przeszywał ją ostrym jak brzytwa spojrzeniem. Pete tkwił u boku Jacoba z marsową miną. Jacob nawet na nią nie patrzył, stał odwrócony plecami, promieniując negatywną energią. Przyjrzała mu się dokładniej. Elegancki smoking opinał jego potężny tors, szerokie ramiona i długie nogi. Jak przystało na mistrza sztuk walki, nadal miał idealnie wyrzeźbione ciało. Włosy gęste i czarne, lecz przystrzyżone nieco krócej niż dawniej. Jego rysy jakby się wyostrzyły, lecz twarz nadal nasuwała skojarzenia z obliczami surowych, silnych aniołów ze średniowiecznych obrazów.



Przymknęła na chwilę powieki, by ochłonać, a kiedy je uniosła, jej spojrzenie zderzyło się ze spojrzeniem Jacoba. Z jego błękitnych oczu wyzierała skrajna dezaprobatą. Jianne poczuła się jak małe, struchlałe zwierzę na celowniku myśliwego. Wszyscy Bennetowie, z wyjątkiem Hallie, dawali jej jasno do zrozumienia, że jest niemile widziana. Co mnie podkusiło, by tu przyjść? - zawyła w myślach.

- Zostań.

Nagle tuż przed nią stanął wysoki, postawny mężczyzna i przerwał jej kontakt wzrokowy z Jacobem. Luke Bennett, narzeczonego Madeline. Jego złote oczy były ciepłe i zachęcające. Wręczył jej kieliszek szampana. - Zostań. Proszę - dodał miękkiem tonem.

- Proszę - powtórzyła jak echo Hallie. - Jacob musi się z tobą znowu zobaczyć. Naprawdę musi! Tylko że... jeszcze sam o tym nie wie.

- Poinformujcie mnie telefonicznie, kiedy się wreszcie dowie - rzuciła z ironią. - Nasze spotkanie w takiej atmosferze nie skończy się niczym dobrym.

- Będziemy cię chronić - zadeklarował Luke.

- Śmiem wątpić. - Wiedziała, że odruchowo staną po stronie swojego starszego brata, a ją potraktują jak wroga i intruza. W przypadku najmniejszego choćby spięcia rozszarpia ją na kawałki.

- Zaufaj nam - poprosił Luke, choć ton jego głosu był rozkazujący.

Jianne nie była już tamtą naiwną panną młodą, która sądziła, że może otoczyć opieką oraz obdarzyć miłością tak liczną, osieroconą rodzinę, w zamian za co również będzie kochana. Rzeczywistość brutalnie zweryfikowała jej pobożne życzenia. Poczwała w sercu przyplw gniewu.

- Na czyjeś zaufanie trzeba sobie zapracować - odparowała.

- W porządku. Rozumiem. W takim razie nie ufaj nam. Ale zostań i popatrz, jak robimy wszystko, co w naszej mocy, abyś poczuła się mile widziana.

Uległa jego namowom i została, nadal czując, że popełnia błąd. Przywitała się z Tristanem, który przedstawił ją swojej żonie. Po chwili w jego ślady poszedł Pete, wyraz jego twarzy nie był już tak wrogi. W pewnym momencie u jej boku pojawił się drobny, chiński nastolatek w eleganckim garniturze. Wcześniej zauważyła, że chłopiec krąży

między wszystkimi Bennettami, nieco zagubiony i zamyślony. Nie miała pojęcia, kim jest.

Spojrzała na niego pytająco.

- Mam na imię Po. Jestem uczniem senseia<sup>2</sup> - odezwał się chłopiec po kantońsku. Kiedy Jianne nie odpowiedziała, powtórzył swą wypowiedź po mandaryńsku.

<sup>2</sup> sensei - mistrz, nauczyciel, instruktor (przyp. tłum.)

- Którego senseia? - zapytała Jianne, przechodząc na angielski.

- Senseia Jacoba. To znaczy, pana Bennetta.

- Czy sensei Jacob Bennett, oprócz karate, uczy cię też angielskiego?

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Po z dumą w głosie. - Znam również język tamilski oraz trochę malajskiego.

- Jestem pod wrażeniem. Skąd znasz tyle języków?

Chłopiec nagle jakby się zamknął w sobie.

- Po prostu znam - mruknął.

- Miło mi cię poznać, Po. Ja mam na imię Jianne - przedstawiła się z uśmiechem.

- Mnie też jest miło. - Jego czarne oczy były nieprzeniknione. - Na żywo jest pani jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu.

- Och, dziękuję - odrzekła zaskoczona. Po chwili namysłu zapytała przytomnie: - Wybacz, ale... na jakim zdjęciu?

Kątem oka dostrzegła, że, niczym wielka czarna chmura, sunie ku niej jakaś mroczna postać. Zanim obróciła głowę, już wiedziała kto to. Bliska obecność Jacoba sprawiła, że jej nadwreżone tego wieczoru nerwy stały się jeszcze bardziej napięte, a zmysły kompletnie przeładowane nadmiarem wrażeń.

- Witaj, Jacob. - Jej głos zadrżał. Nic dziwnego, skoro całe jej ciało przeszedł dreszcz. Jacob zawsze zaburzał jej wewnętrzną równowagę. - Właśnie zapoznawałam się z twoim uczniem.

- Widzę. - Jacob utkwiał wzrok w chłopcu. - Na jakim zdjęciu? - niczym echo powtórzył pytanie Jianne.

Po milczał. Spojrzenie Jacoba stało się jeszcze bardziej natarczywe.

- Oczekuję odpowiedzi, Po.

- To, które nosi pan w portfelu...

- Grzebałeś w moim portfelu?

- Niczego nie ukradłem - rzucił pośpiesznie nastolatek. - To było dawno temu. W dniu, kiedy przeszedłem do dojo. Chciałem tylko... - Urwał, czując na sobie arktyczne spojrzenie swego trenera. - Chciałem się dowiedzieć o panu czegoś więcej. Portfel dużo mówi o człowieku - rzekł sentencjonalnie. W chłopcu dało się wyczuć powagę i dojrzałość nielicującą z jego wiekiem.

Ich pojedynek na spojrzenia trwał kilka długich sekund.

- Znieważyłeś mnie i zawiodłeś - oświadczył wreszcie Jacob szorstkim głosem.

Po spuścił głowę, odwrócił się błyskawicznie i czym prędzej odszedł, rozpluwając się w tłumie gości. Jianne miała ochotę pójść w jego ślady.

- Jesteś jego... opiekunem? - zapytała niepewnie.

- Coś w tym guście.

Po nie może być rodzonym synem Jacoba, ponieważ jest w stu procentach Chińczykiem, zauważyła przytomnie.

- Jak to?

- Zapytaj Madeline.

- Spotka go jakaś kara za to drobne, przedawnione przewinienie? - zapytała łagodnie.

Jacob zacisnął usta, które wyglądały teraz jak gruba, prosta kreska.

- Grzebał w moim portfelu. Celowo pogwałcił granice mojej prywatności. Śmiesz twierdzić, że powinienem puścić mu to płazem?

- Nie, ale... przecież to jeszcze dziecko!

- I dlatego nie wolno mu zafundować porządnego lania? - Ostry ton jego głosu sprawił, że Jianne aż się wzdrygnęła. Spuściła głowę i zatopiła wzrok w swoim kieliszku szampana. - Na litość boską, Jianne, nigdy nie podniosłem ręki ani na moje rodzeństwo, ani na ciebie i nie zamierzam tego zmieniać. Wypij swojego szampana i przestań się za-

chowować tak, jakbym miał cię zaraz ukrzyżować. Uwierz mi, nie zrobię tego. Im szybciej sobie to uprzytomnisz, razem z resztą mojej rodziny, tym lepiej.

Jianne uniosła kieliszek do ust i upiła spory łyk.

Potem kolejny. I kolejny. Cały czas zastawiała się gorączkowo, co powiedzieć.

- Dobrze wyglądasz - rzuciła szczerze. - Bardziej deprymująco niż zwykle.

- To komplement?

- Raczej tak.

- Raczej nie - odwarknął.

Nie było sensu dyskutować. Wlała w siebie kolejny łyk trunku.

- Gratuluję sukcesów - zagaiła znowu. - Wszystkich wygranych zawodów i zdobytych tytułów. Madeline wspomniała, że twoje dojo to mekka uczniów z całego świata, którzy marzą o tym, by pobierać u ciebie nauki.

- Przecież ty nienawidzisz karate - syknął z pogardą.

Nieprawda, pomyślała. Nienawidziła tylko tego, że tak wiele czasu poświęcał swej pasji. Nie zdawała sobie sprawy, że dla niektórych ludzi karate jest sposobem na życie, a nawet czymś w rodzaju religii. Nie wiedziała również, że bez sztuk walki Jacob nie potrafiłaby zapanować nad targającymi nim emocjami. Przeważnie negatywnymi.

- Mylisz się - odparła. - Po prostu nigdy nie rozumiałam karate. A to spora różnica.

- A teraz już rozumiesz?

- Odrobinę. - Postanowiła zmienić temat na bardziej bezpieczny. - Madeline i Luke wydają się być dobraną parą.

Skinął tylko głową.

- A reszta twoich braci i Hallie... Teraz zdają się tacy - szukała w myślach odpowiedniego określenia - ...cywilizowani. Odwaliliś kawał dobrej roboty.

- To nie moja zasługa.

Postanowiła nie drażnić tej kwestii. Oderwała wzrok od Jacoba i rozejrzała się po sali. Bez wątplenia byli teraz w centrum zainteresowania wielu obecnych na sali.

- Przepraszam - rzuciła po ciszy tak długiej, że zdawała się całą wiecznością. - Chyba szuka mnie moja ciocia. - Zrobiła krok w tył.

- Stój - rozkazał.

Zamarła w pół kroku.

- Jak ci się podoba w Singapurze? - zapytał zniechęcony. - Czy chcesz się tu osiedlić?

- Singapur jest uroczy. Bardzo mi się tu podoba...

- Twoja ciocia - przerwał jej w pół słowa - powiedziała Luke'owi, że dręczy cię niechciany adorator.

Dziękuję, ciociu, pomyślała z pretensją.

- Podobno ten fatygant nalega, żebyś przyjęła jego propozycję małżeństwa.

- To nie twoja sprawa - burknęła.

- Nie moja? Czyżby, żono? - wycedził z emfazą. - Podobno nie jesteś zainteresowana tym facetem... ale może to kłamstwo? Może chcesz ponownie wyjść za mąż, a ja ci to utrudniam? - Spojrzał na nią oczami, z których bił chłód. - Chcesz rozwodu?

- Nie! - zaprzeczyła natychmiast. W jej głosie zadźwięczał strach i coś jeszcze, coś głębszego. Prawda była brutalna: nigdy nie udało jej się wyrzucić męża z serca. - A może ty życzysz sobie rozwodu? Rozumiem, jeśli matka Po...

- Nie widziałem jej nigdy na oczy. Po nigdy o niej nie wspomina. On jest drobnym złodziejaskiem. Kieszonkowcem. To jedna z przybłęd, które podrzuciła mi Madeline. Przeprowadziła go do dojo, aby miał dach nad głową i żebym sprowadził go na dobrą drogę.

- Ach, rozumiem. - Zagadka rozwiązana.

Natychmiast jednak pojawiła się kolejna, o wiele większa: Jianne nadal nie wiedziała absolutnie nic o obecnym życiu uczuciowym Jacoba.

- Twoja ciotka przypuszcza, że jeśli tamten człowiek nie dostanie od ciebie tego, czego chce, może się stać dla ciebie zagrożeniem - ciągnął dalej Jacob. - Madeline podziela jej zdanie. Martwią się o twoje bezpieczeństwo.

Wzruszyła ramionami.

- Zupełnie niepotrzebnie.

- Czy przywłókł się za tobą do Singapuru?

- Nie widziałam go tutaj... - Nie widziała go, lecz wiedziała, że owszem, przyjechał za nią.

Nie czuła potrzeby informować swojego męża, z którym od tylu lat była w separacji, że Zhi Fu rzeczywiście ją wytropił. Nadal bombardował ją niechcianymi prezentami.

- Jianne, powiedz prawdę. Czy ten typ stanowi dla ciebie realne zagrożenie?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. On właściwie nie robi nic... złego. - Nie wiedziała, w jakie słowa ubrać tę historię. Westchnęła bezradnie. - On tylko się ze mną... bawi.

- Nie rozumiem. - Zmarszczył brwi Jacob. - Bawi? W co?

- To nieistotne.

- Odpowiedz - zażądał.

- Jacob, nie potrzebuję ochroniarza.

- Jestem twoim mężem i moim obowiązkiem jest chronić żonę przed jakimś psychopata! - zagrzemiał.

- Żonę, z którą nic cię już nie łączy - poprawiła go łagodnym głosem. - Od dwunastu lat.

Jacob wykrzywił usta z goryczą i odrzekł:

- Zatem chcesz ode mnie jedynie ochrony, którą gwarantuje moje nazwisko, i nic ponadto?

Brzmiało to brutalnie, lecz pokrywało się z prawdą. Myślała - i miała nadzieję - że wszystko zostanie po staremu i że ta pusta skorupa, którą jest ich małżeństwo, pozostanie nietknięta. Tak było prościej i wygodniej.

- Jeśli chcesz rozwodu - zaczęła - to mogę ci go dać. Jeśli w twoim życiu ktoś się pojawił...

Wbił w nią ostre spojrzenie.

- Co by zrobił twój adorator, gdyby się dowiedział, że jesteś już wolna?

- Nie wiem. I guzik mnie to obchodzi. Sama dam sobie z nim radę. Możemy się wreszcie rozwieść! - wybuchła poirytowana. - Nie musisz sobie zawracać mną głowy.

- Wiesz, Ji, któregoś dnia uprzytomnisz sobie, że ludzie wcale nie spodziewają się po tobie tego męczennictwa. Możesz bez wahania wyrażać swoje potrzeby i oczekiwać, że zostaną one spełnione.

- No, dobrze - westchnęła. Coś w niej pękło. Nie mogła dalej udawać, że wszystko jest w porządku. - Faktycznie marzę o tym, aby Zhi Fu wreszcie się ode mnie odczepił.

Przyjazd do Singapuru pozwolił mi trochę odetchnąć. Ciocia i wujek pełnią rolę moich ochroniarzy. Tutaj Zhi Fu nie będzie miał do mnie tak łatwego dostępu jak w Szanghaju. Wkrótce znudzą mu się te wszystkie głupie gierki. - W duchu dodała: Boże, niech tak się wreszcie stanie!

Jacob patrzył na nią w milczeniu. Czyżby jej nie dowierzał?

- Nie chcę cię w to mieszać - zakończyła stanowczo.

Nie takich słów się spodziewał. Wzgardziła jego pomocą. Wcisnął pięści w kieszenie spodni i spojrzał przez okno na niebo, które płonęło barwami zachodzącego słońca.

- Czy możesz mi chociaż obiecać, że jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, zadzwonisz do kogoś i poprosisz o pomoc?

- Tak. Powiadomię wówczas moich kuzynów lub wujka. A może nawet Madeline czy Luke'a. Ale wolałabym nie zgłaszać się do ciebie - zaznaczyła. - Chyba rozumiesz dlaczego.

- Ponieważ jestem dla ciebie *persona non grata*, tak samo jak twój adorator?

- Nie, skądże! Na Boga, Jacob. Nie masz nic wspólnego z Zhi Fu! On mnie kompletnie nie interesuje. Nie chcę go. Z kolei ciebie... kiedyś chciałam. Zbyt mocno. - Trudno jej było się do tego przyznać. Do własnej klęski, która położyła się cieniem na jej całym późniejszym życiu.

Jacob milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie wracajmy do tego. Uważasz, że nie jestem w stanie zapewnić ci odpowiedniej ochrony? - zapytał z urazą w głosie.

- Bynajmniej. Byłam świadkiem tego, jak walczysz o ocalenie swojej rodziny. Wiem, do czego jesteś zdolny, by chronić osoby, na których ci zależy. I wiem, że mnie również byś chronił, gdybym cię o to poprosiła.

- Lecz nie poprosisz. - Przeszył ją wzrokiem.

Odnalazła w sobie odwagę, by wytrzymać jego spojrzenie. Zajaczek kontra tygrys, pomyślała.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie?

Zawsze skupiał całą swoją uwagę na tym, z kim akurat przebywał lub czym się akurat zajmował. Kiedy brał Jianne w swe ramiona i kochał się z nią, z nieba niczym deszcz spadała na nich rozkosz i błogość. A kiedy zaczęły go zaprzętać inne sprawy, Jianne poczuła się zaniedbana i odrzucona. Zawładnęły ją wewnętrzne demony, o których istnieniu nawet nie wiedziała. Tak właśnie wygląda obsesyjna miłość. Jest niepo- hamowana. Niezapomniana. I niszczycielska.

- Jianne, podaj mi jakiś powód. Dlaczego nie chcesz, żebym ci pomógł?

- A jak chciałbyś to zrobić? Udając, że jesteśmy znowu szczęśliwą parą? Pozwala- jąc mi wrócić do swojego życia, dopóki Zhi Fu nie zostawi mnie w spokoju?

- Tak, jeśli zajdzie taka potrzeba - odparł z determinacją. - Moglibyśmy ustanowić pewne granice w naszych relacjach. Wprowadzić pewne zasady.

Usta Jianne wykrzywił smutny uśmiech.

- Moglibyśmy. - Wiedziała jednak, że by je złamała. - Czy kiedykolwiek byłeś od czegoś tak uzależniony, że prawie umarłeś, odstawiając to? - zapytała głosem brzmiącym jak dalekie echo. Nadal wpatrywała się w jego twarz. Spuścił głowę i wbił wzrok w pod- łogę.

- Tak - mruknął wreszcie.

- Ja też.

Gdy tym razem zrobiła krok do tyłu, nie zatrzymał jej.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Jianne pożegnała się z Madeline i Luke'em, uśmiechnęła się do sennej, malutkiej Layli i grzecznie odrzuciła zaproszenie od Hallie na jutrzejszy lunch. Powiadomiła ciocię i wujka, że jedzie do domu. Ze wzruszeniem patrzyła, jak wujek Yi dzwoni po taksówkę i kilka razy powtarza prośbę, by kierowca przypilnował, aż Jianne znajdzie się bezpiecznie za drzwiami mieszkania. Dzisiaj nie przeszkadzała jej jego nadopiekuńczość.

Kiedy szła do samochodu, w cieniu, który rzucał strzelisty budynek hotelu, dostrzegła stojącego w samotności, stropionego Po.

- Nie lubisz imprez? - zapytała łagodnym tonem.

Chłopiec pokręcił głową, wpatrując się w oczy Jianne. Szukał czegoś w jej twarzy, czegoś od niej chciał... lecz czego? Nie miała talentu do obchodzenia się z dziećmi. Rodzeństwo Jacoba mogłoby o tym zaświadczyć.

- Przez naszą rozmowę miałeś kłopoty. Przepraszam.

W ciemnych oczach Po ujrzała żal.

- Pierwszy raz mu podpadłeś?

- Nie - odparł chłopiec. - Czasem popełniam błędy... niechący.

- W takim razie oboje mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sądzisz. - Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - Bardzo mi było miło cię poznać, Po. Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał pogadać, jestem do usług. Madeline zna mój adres.

- A jeśli pan Jacob będzie pani potrzebował?

Uśmiech na jej twarzy zgasł.

- Jeśli będzie chciał, odnajdzie mnie. Zawsze w każdej chwili mógł to zrobić.

Czując napływające do oczu piekące łzy, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Jacob wyszedł pięć minut później. Zauważył, że Po wymknął się z przyjęcia. Na szczęście nie uciekł daleko, nie zaszył się w jednej ze swoich starych kryjówek. Dostrzegł chłopca stojącego w cieniu przed fasadą hotelu. Gdyby nie to, że Po miał na sobie wyprasowany garnitur i wyglansowane buty, portier zapewne od razu by go stąd przepędził.

Podjechał do niego na swoim motocyklu i wyciągnął w kierunku chłopca mały, niedawno zakupiony kask.

- Jedziesz?

- Nadal jestem pana uczniem?

- A nadal chcesz się nauczyć karate?

Chłopiec przytaknął.

- W takim razie zawrzyjmy układ. Jeśli coś ukradniesz, wylatujesz. Jeśli popełnisz jakieś inne błędy, dostaniesz upomnienia. Jeśli znowu będziesz grzebał w cudzych rzeczach, także wylatujesz. Zrozumiano?

Po ponownie skinął głową.

- No to wskakuj.

Nazajutrz po swoim przyjęciu zareczynowym, w pół do siódmej rano, Luke tańczącym krokiem, pogwizdując wesoło, wszedł do dojo swego starszego brata. Jacob wpatrywał się w niego ze zdziwioną miną.

- O której skończyła się impreza? - zapytał.

- Coś koło drugiej.

- To co ty tutaj robisz? Madeline wyrzuciła cię z domu?

- Maddy w ramach porannych ćwiczeń uprawia tai chi. - Usta Luke'a rozdarło szerokie ziewnięcie. - Mnie nie kręcą takie rzeczy. Potrzebuję mocniejszych wrażeń, żeby się rozbudzić. Masz ochotę na krótki sparring?

Jacob wyszczerzył zęby.

- Dać ci popalić z samego rana? Z przyjemnością. - Ściągnął koszulkę, a potem buty. Luke uczynił to samo. Stanęli naprzeciwko siebie: nagie torsy, gołe pięści, czarne bawełniane spodnie. Zrobili krótką rozgrzewkę.

- Jak ci wczoraj poszło?

- Co?

- Spotkanie z Jianne.

- Fenomenalnie - odrzekł Jacob z ironią.

- Długo rozmawialiście.

- Przyszedłeś tu szukać guza czy najnowszych plotek?

- I to, i to. Pamiętaj, że zawsze masz we mnie oparcie, braciszku.

- Dzięki. Kiedy ślub? - zapytał.

- Za trzy tygodnie.

- W takim razie potraktuję cię wyjątkowo łagodnie - zapewnił Jacob. Sekundę później uderzył brata pięścią prosto w szczękę. - No dobra, skłamałem.

Luke odpowiedział na atak, kopiąc Jacoba w krocze, po czym spróbował uderzyć go łokciem w żebra, lecz chybił. Mimo to uśmiechnął się drapieżnie, dając do zrozumienia, że jeśli Jacob walczy według zasady „wszystkie chwyt dozwolone”, to on z przyjemnością się do tego dostosuje.

Walczyli z furją oraz gracją godną dzikich kotów. Mocną stroną Jacoba była technika, a Luke'a nieobliczalność. Obojgiem kierował pierwotny instynkt, kontrolowana agresja. To była dokładnie tego typu bezmyślna rozrywka, której teraz potrzebował Jacob, by choć na kilka chwil opędzić się od wspomnień o Jianne.

Wzięli się za bary, mocując się i szarpiąc. Luke podciął bratu nogi. Jacob runął na podłogę, jęknął głośno i zobaczył na suficie gwiazdy, których wcześniej z całą pewnością tam nie było.

- Odszukasz ją? - zapytał Luke. - To nie byłoby trudne. Maddy chyba zna adres.

- Ona sobie tego nie życzy - burknął. Nadal leżąc, wymierzył bratu kopniaka w kolano i powalił go na ziemię. - Dlaczego nigdy nie osłaniasz nóg?

- Bo ja też lubię gapić się w sufit - odrzekł Luke, leżąc tuż obok brata. - Myślę, że powinieneś mieć ją na oku.

- Ona. Tego. Nie chce.

- My też niespecjalnie chcieliśmy, żebyś siedział nam na karku, a i tak się nami zajmowałeś.

- Wy to co innego. Jesteście moją rodziną.

- A Jianne nie jest? - zdziwił się Luke. - Masz zamiar się z nią rozwieść?

Jacob raptem rzucił się na brata niczym dzika pantera i chwycił go za gardło.

- Chyba... nie... - wycharczał Luke, odpowiadając na własne pytanie.

Jacob poluźnił uścisk i wstał, zataczając się nieco. Podał bratu dłoń, by pomóc mu wstać.

- Przepraszam... - wysapał. - Trochę za ostro...
- W porządku. Nic mi nie jest - wydukał Luke. - Koniec walki?
- Powiedzmy, że był remis. Zostaniesz na śniadanie?
- Tylko jeśli masz jakieś środki przeciwbólowe.
- Mięczak. - Ruszyli w stronę drzwi.
- Głupek - odparł Luke z sympatią.

Jacob przyjrzał się jego lśniącej od potu twarzy.

- Ten siniak na twoim policzku do wesela chyba się nie zagoi.
- Wielkie dzięki, stary - mruknął Luke. Po chwili powrócił do przesłuchiwania brata: - Czyli znowu będziesz się z nią widywał? Dzwonił do niej? Wyciągał na randki?
- Nigdy nie przyjęłaby ode mnie zaproszenia.

- Warto spróbować. - Wtoczyli się do ciasnej kuchni. - Poproszę dziś Maddy, żeby zadzwoniła do Jianne i zapytała, czy ktoś jej nie nękał telefonami. Albo prezentami. Ponoć tamten typ hojnie obsypuje ją podarunkami. Tydzień temu przysłał Ji suknię ślubną, szytą na miarę, horrendalnie drogą. Odesłała mu ją kurierem.

- Suknię ślubną? - zdumiał się Jacob.

- Słuchaj dalej. Firma kurierska poinformowała ją, że nie może dostarczyć paczki, ponieważ nikt o tym nazwisku nie mieszka pod tamtym adresem. Jianne nadal ma tę sukienkę. Jej wujek grozi, że osobiście ją tam zanieśli, ale Ji nie chce o tym nawet słyszeć.

- Nie ma racji - mruknął Jacob, przyrządzając śniadanie. - Sam chętnie bym to zrobił.

- To na co czekasz?

- Już ci mówiłem, że Jianne nie życzy sobie pomocy z mojej strony. Zresztą ma już ochroniarza w postaci swojego wujka. Madeline też jej pilnuje. Jak widać, razem z tobą. Uzbierał się przy niej już całkiem spory tłum. Kogo mogłaby jeszcze potrzebować?

Luke sięgnął po swoją filiżankę kawy, upił spory łyk, siorbiąc głośno, po czym powiedział cichym głosem:

- Niektórzy mogliby powiedzieć, że... ciebie.

Luke wyszedł z dojo parę minut po dziewiątej, nakarmiony, poturbowany i lekko kuśtykający. Jacob zaryglował za nim drzwi; dojo w niedzielę było zamknięte. Niedziela,

dzień wypoczynku - głosiła niepisana zasada, którą znali wszyscy, którzy przychodzili tu trenować. Po dziesięciu minutach zadzwoniła Hallie. Usiłowała zorganizować niedzielną kolację dla klanu Bennettów, zanim wszyscy znowu się rozjadą. Następnie zatelefonowała Madeline, która chciała mu przypomnieć o dzisiejszym lunchu w jej domu. Kiedy telefon kolejny raz się odezwał, Jacob zaskomlał i prawie zignorował połączenie. Pomyślał jednak, że może to Tristan lub Pete.

Uwielbiał swoje rodzeństwo i darzył je głębokim, bezwarunkowym uczuciem, jednak podczas tego typu zlotów rodzinnych nieodmiennie cofał się myślami do dramatycznego okresu, kiedy jego priorytetem była zażarta walka o to, by wszyscy zostali razem, by nikt ich nie rozdzielił. Od razu przypominał sobie o ówczesnej sytuacji Jianne, która nie potrafiła się odnaleźć w środku tego chaosu, nie mogła udźwignąć ciężaru opieki nad jego licznym, narowistym rodzeństwem. To było nie fair wobec niej. Nigdy nie udało mu się uciszyć wyrzutów sumienia.

Podniósł słuchawkę. Usłyszał głos Jianne. Odjęło mu mowę. Dwa razy się przywitała, zanim Jacob wykrztusił wreszcie:

- Coś się stało? Coś ci grozi?

- Cóż to za powitanie?

- Gdzie jesteś? - wypytywał dalej gorączkowo. - Jesteś bezpieczna?

- Stoję pod twoim dojo - odparła spokojnie. - Łaskawie mnie wpuścisz czy chcesz dalej prowadzić to absurdałne przesłuchanie?

W mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach, otworzył je i zrobił krok do tyłu, wpuszczając Jianne. Wystawił głowę na zewnątrz, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu zagrożenia, lecz na ulicy niczego takiego nie dostrzegł. Zamknął drzwi, odwrócił się i... zaparło mu dech w piersi. Jianne wyglądała bosko w letniej limonkowej sukience, na tyle krótkiej, by wspaniale wyeksponować jej długie, smukłe nogi. Ciemne, błyszczące włosy spięte miała po bokach hebanowymi grzebykami. Kurczowo ścisnęła przytkniętą do piersi torebkę, osłaniając się nią jak tarczą.

Jacob zaprosił ją do sali treningowej. Niemal jęknął głośno, gdy ujrzał ją od tyłu i dostrzegł, jak długie są jej włosy. Minęło tyle lat, a ona ich nie ścięła. Nadal przywodziły

mu na myśl rzekę lśniąca w słońcu. Siegały jej aż do pośladków. Dawno temu, w chwilach cudownych zbliżeń, jej włosy oplatały ich ciała niczym jedwabny całun.

Poczuł, jak jego ciało natychmiast reaguje na to wspomnienie. Próbował wyrzucić z umysłu obraz ich nagich, splecionych ze sobą ciał. Nie może drugi raz popełnić tego samego błędu. Faceci tacy jak ja, pomyślał, nie mają prawa dotykać tak delikatnych istot jak Jianne.

- Co ci znowu zrobił? - warknął szorstko.

- Kto?

- Ten twój przeklęty adorator.

- Dlaczego uważasz, że przyszedłam tu z jego powodu?

Przeszła przez salę treningową do malutkiego aneksu kuchennego. Dojo było niegdyś starym, porzuconym, jednopiętrowym magazynem. Z tyłu budynku znajdowało się kilka spartańskich sypialni dla gości oraz przyjezdnych uczniów, a na pierwszym piętrze mieszkanie Jacoba, które nieco na wyrost można by nazwać lottem.

Jianne spojrzała znacząco na stojące w kącie krzesło. Jacob przypomniał sobie, że jego żona jest zagorzałą zwolenniczką dobrych manier, których on od momentu jej wejścia karygodnie zaniechał.

- Wybacz, ale krzesło się połamało. Czy zechciałabyś usiąść na... stole? - zaproponował nieco zażenowany. - Masz ochotę się czegoś napić?

Pokręciła głową. Usiadła niepewnie na rozklekotanym stole pokrytym obdrapanym laminatem. Jacob stał ze skrzyżowanymi ramionami oparty o starą, rzeżącą lodówkę.

- On tu jest - rzekła nagle półgłosem. - Zhi Fu. Dziś rano dostałam od niego zaproszenie na przyjęcie.

- A więc przywłókł się za tobą do Singapuru. - Nie był ani trochę zaskoczony. Już wcześniej uznał, że sytuacja jest poważna. - Mogłaś się tego spodziewać.

- Miałam nadzieję, że w Szanghaju zatrzymają go interesy. Bardzo na to liczyłam - westchnęła.

- I co teraz?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Zawsze grzecznie odrzucam jego zaproszenia, ale wujek nalega, że najwyższy czas wysłać mu jakiś mocniejszy sygnał. Zasugero-

wał, abym poszła na tę parapetówkę do Zhi Fu. - Spojrzała na męża swoimi wielkimi, pięknymi oczami i dodała: - Z tobą.

- Najlepszą obroną jest atak. Podoba mi się sposób rozumowania twojego wujka.

W kącikach ust Jianne pojawił się lekki uśmiech.

- Wiedziałam, że tak zareagujesz.

- To komplement? Bo wydaje mi się, że nie.

- Zinterpretuj to, jak chcesz - odrzekła. - Chodzi o to, że potrzebuję ochrony. Kogoś na poziomie wojowników z klasztoru Shaolin. W swoim życiu spotkałam tylko jedną taką osobę. Ciebie. Zhi Fu jest w Singapurze. Wynajął mieszkanie na przeciwko mojej cioci i wujka, po drugiej stronie ulicy. Będzie w stanie śledzić każdy mój ruch, tak samo jak to robił w Szanghaju.

Jacob zacisnął pięści na myśl o perfidnym, psychopatycznym wielbicielu jego żony.

- Wujek uważa, że kolejna przeprowadzka na nic się nie zda - ciągnęła dalej. - Zhi i tak mnie wytropi.

- Twój wujek ma rację. - Przyjrzał się uważniej swojej rozmówczyni. Dostrzegł jej lekko podkrążone oczy, nieco wychudzoną twarz. - Czy nie myślałaś, żeby wystąpić z wnioskiem do sądu, aby zakazał temu facetowi zbliżania się do ciebie?

- Najpierw musiałby mi grozić. Tak jak mówiłam wczoraj, on nigdy tak naprawdę nie zrobił mi nic złego. Nie w świetle prawa. - Było widać i słyszać, że cała ta historia kosztuje ją wiele nerwów, może nawet nieprzespanych nocy. - Nie wiesz, jaki on jest. Ma ogromną siłę perswazji. Umie z łatwością zjednywać sobie ludzi. Jest czarujący, pomocny, stosuje reguły guanxi i w ten sposób uzależnia od siebie ludzi. To jest jego perfidna taktyka.

- Od jak dawna to trwa? - zapytał Jakob ostrym tonem.

Długie milczenie.

- Powiedz, proszę - dodał łagodniej.

- Od pięciu lat - wyznała łamiącym się głosem. - Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, co on tak naprawdę robi i co chce osiągnąć. Mój ojciec z początku uważał, że postradałam zmysły, ale on też wkrótce wpadł w sieć Zhi Fu. Już nie uważa, że zwa-

riowałam, ale jest bezradny. Mam już dość tego, że wszyscy dookoła są bezsilni! - wybuchła nagle. - Chcę odzyskać swoje życie. Chcę walczyć. I wygrać - zakończyła bojowo.

Jakob przyklasnął jej w duchu, lecz nie dał po sobie tego poznać.

- Czego ode mnie oczekujesz? Pójdę z tobą na to przyjęcie. Co jeszcze?

- Chcę, aby Zhi pomyślał, że ja i ty... znowu jesteśmy razem. - Jej policzki nagle spąsowiały. - Chciałabym, abyś wysłał wyraźne sygnały, że my... że ty...

- Zrozumiałem. Co jeszcze?

- Nie mogę nadal mieszkać u wujka, wiedząc, że Zhi Fu ciągle mnie kontroluje, obserwuje. Naprawdę nie mogę! - zawołała zrozpaczona. Dwanaście lat temu zdawało się, że Jianne jest ucieleśnieniem spokoju i chłodnego dystansu. Jacob uznał, że ona naprawdę mocno przeżywa tę nieprzyjemną historię. - Muszę znaleźć nowy ką. Miejsce, w którym czułabym się bezpiecznie.

Spojrzał prosto w jej wielkie, przepelnione strachem oczy. Od razu zgadł, jaki pomysł chodzi jej po głowie.

- O, nie! Nie, nie, nie! - powtarzał coraz głośniejszym głosem, kręcąc energicznie głową. - Absolutnie wykluczone. - Przeczesał nerwowo włosy. - Nie możesz się tutaj wprowadzić!

- Wiem od Madeline, że na tyłach budynku masz kilka pokoi dla gości.

- Zgadza się, ale warunki nie są luksusowe. Przeciwnie, te pokoje przypominają cele więzienne. Komnaty w lochach. - Z całych sił próbował ją zniechęcić.

- Niepotrzebne mi luksusy.

- Nie ma kucharza, nie ma pokojówki - ciągnął dalej - jestem tylko ja i Po. Codziennie odbywa się tu kilka lekcji karate. Zaczynają się już o szóstej rano! A kończą późno w nocy. Po mało śpi, potrafi być hałaśliwy. Czasami, kiedy mam problemy ze snem, ćwiczymy do świtu. - Rozejrzał się dookoła, drapiąc się w policzek. - Choć trudno w to uwierzyć, pomieszczenie, w którym się znajdujemy, jest jedyną dostępną tu kuchnią. Pełni ona również funkcję jadalni, salonu oraz pokoju, w którym Po się uczy. Jak sama widzisz, warunki są wprost skandaliczne!

Jianne patrzyła na niego spokojnym wzrokiem, zupełnie niezrażona. Jakob nie mógł uwierzyć, że jego rozpaczliwe próby zniechęcenia jej zakończyły się fiaskiem. Dodał więc złowieszczym tonem:



- Poczekaj, aż zobaczysz łazienkę...

- Jeśli nie chcesz mnie tutaj, bo byłabym intruzem, po prostu powiedz „nie”. Wiem, że to nie jest błahostka. Dla ciebie to równoznaczne z pogwałceniem twojej prywatności, przy którym grzebanie w twoim portfelu to pestka. Jestem tego świadoma. Zrozumiem, jeśli nie wyrazisz zgody na mój pobyt w twoim domu.

- I co wtedy? - odparł natychmiast. - Gdzie się podziejesz?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

- Uwierz mi, nie spodoba ci się tutaj. Tu nie jest miło ani ładnie. Wprost przeciwnie, tu jest gorąco, głośno, powietrze przesyca zapach męskiego potu. Dom stoi dwa kroki od ulicy. Bardzo ruchliwej, hałaśliwej ulicy - dodał z naciskiem.

- Nie szkodzi.

Jacob zaczął chodzić po kuchni, czując narastającą irytację i frustrację. Dla lepszego efektu warczał pod nosem. Łypnął okiem na Jianne. Wyglądała jak porcelanowa księżniczka z bajki. On natomiast miał na sobie czarne dresowe spodnie, tak przetartą, że niemal prześwitującą szarą podkoszulkę i bose stopy. Czuł się przy niej jak dzikus wychowany w lesie.

- Chodź - mruknął i poprowadził ją do wąskich schodów z boku sali treningowej.

Wspięli się po stromych stopniach. Pchnął skrzypiące drzwi.

Mieszkanie było przestronne, a w gęsto zaludnionym Singapurze przestrzeń to prawdziwy luksus. Było tego samego rozmiaru co sala treningowa na parterze. Umeblowanie było skromne. Na łóżku zasłanym białą pościelą leżała granatowa narzuta i mała piramida poduszek. W przeciwległym rogu znajdowała się toaleta oraz prysznic, odgródzone jednie cienką ścianką i prowizorycznym ekranem, który zapewniał odrobinę prywatności. Na obu ścianach biegł rząd okien, w których zamontowane były żaluzje. Jedna z tych ścian pokryta była jedwabnymi gobelinami ukazującymi drastyczne sceny bitewne, pełne krwi i śmierci. Poza tym w mieszkaniu znajdował się fotel, lampa do czytania oraz przekrzywiona półka uginająca się pod natłokiem książek. Ubrania i rzeczy osobiste Jacoba znajdowały się w szafie i skrzyni ustawionej w rogu.

- Jak widzisz - odezwał się Jacob - to nie jest luksusowy penthouse. Ale i tak lepsze to niż kwatery na parterze.

Jianne omiotła wzrokiem pomieszczenie. Jacob zacisnął zęby, wstydząc się surowego wystroju, lekkiego bałaganu, a nawet swojego zapachu unoszącego się w powietrzu.

- Przecież to jest twoje mieszkanie! - zawołała Jianne.

- Wyniosę swoje rzeczy. Przeniosę się na dół.

- Nie! Nie zgadzam się. To ja zamieszkam na dole. Bez względu na panujące tam warunki.

Zatopił w niej poważne, skupione spojrzenie.

- Jianne, to moja jedyna propozycja. Albo zamieszkaś tutaj, na górze, albo nigdzie.

Milczała, bijąc się z myślami.

- To jest moje ultimatum.

- Dobrze - wyszeptała, dając za wygraną. - Zamieszkam tutaj. Oczywiście zapłacę za czynsz - dodała szybko i wymieniła kwotę, za którą mogłaby wynająć apartament w sześciogwiazdkowym hotelu, a nie obskurny loft nad dojo w centrum miasta.

- Nie chcę od ciebie ani grosza - burknął, posyłając jej urażone spojrzenie.

Jianne skrzywiła się, jakby ją spoliczkował.

- Czy za każdym razem, kiedy na ciebie zerkam, musisz się krzywić? - zapytał poirytowany.

- A czy ty musisz ciskać we mnie gromami, ilekroć otworzę usta? - odgryzła się. - Jest powszechnie przyjętym i praktykowanym zwyczajem, że płaci się za wynajem mieszkania. Dlaczego moją ofertę odebrałeś jako afront?

Pieniądze zawsze były w ich związku punktem zapalnym. Mówiąc ściślej, od momentu, kiedy Jianne ujawniła, że pochodzi z bajecznie bogatej rodziny. Wówczas miała na koncie dziesiątki milionów dolarów. Teraz zapewne setki milionów. Podzieliła się z nim tą jakże mało istotną informacją dopiero pół roku po ślubie, gdy zaproponowała, że wynajmie gosposię, która będzie codziennie sprzątać dom Bennettów oraz przygotowywać zdrowe posiłki dla wszystkich domowników. Jacob odebrał ten pomysł jako cios w jego męską dumę. Nie zatrudnili gosposi. Jianne niemalże utonęła w natłoku domowych obowiązków. To był bardzo trudny okres.

- Dobrze - zgodził się niechętnie. - Kilkaset dolarów singapurskich tygodniowo wystarczy. Jeśli uważasz, że to zbyt niska kwota, podam ci numer konta, które będziesz mogła zasilić. To konto, które założyłem dla Po. Możesz mu wpłacać tyle, ile chcesz.

Posłała mu przeciągłe, zamyślane spojrzenie zwieńczone lekkim kiwnięciem głowy.

- Tak zrobię.

- Czy twój wujek wie, że chcesz się tutaj wprowadzić?

- Tak.

- Pochwala tę decyzję? - Jacobowi dane było poznać, czym jest dezaprobata ze strony rodziny Xang.

Teraz chciał wiedzieć, na ile frontów będzie musiał walczyć.

- Tak. Jest skory do współpracy z tobą.

- A twój ojciec?

- Mój ojciec nie może mi pomóc - odparła cierpkim tonem.

- Jesteś pewna, że nie chcesz raz jeszcze przemyśleć tej decyzji?

- Jeśli to zrobię, to się rozmyślę.

- I nic ci to nie mówi? - zapytał z nadzieją w głosie.

To była jego ostatnia szansa, by wyperswadować jej ten upiorny pomysł.

- Mówi. - Na jej ponętnych ustach rozkwitł delikatny uśmiech. - Że czasem nie powinno się za dużo myśleć.

Przy herbacie wypitej w zapyziałej kuchni ustalili, że Jianne wprowadzi się do jego mieszkania po południu. Jacob, zupełnie zrezygnowany, doszedł do wniosku, że dopóki nie rozprawi się z jej coraz śmielszym adoratorem, nie może zostawiać jej samej w domu.

- Wybacz, ale muszę się teraz doprowadzić do porządku - mruknął, drapiąc zarośnięty policzek. - Wkrótce idę do Madeline na lunch. Hallie zorganizowała również wspólną kolację w jakiejś restauracji. Możesz mi towarzyszyć. Twój wujek zajmie się bagażami.

- Kto jeszcze będzie na tym lunchu? - zapytała ostrożnie.

- Luke, Po... i pewnie cała reszta.

- To znaczy, reszta twojego rodzeństwa?

Jacob przytaknął. Dostrzegł, jak Jianne jakby się skurczyła w sobie.

- Znam twoje zdanie o nich - zaczął miękkiem tonem. - Niesforni, nietaktowni, niecywilizowani. Zgoda, ale to było dawno temu. Teraz jestem z nich wszystkich dumny. Musisz wiedzieć, że zrobią wszystko, co w ich mocy, by cię chronić. Mogłabyś okazać odrobinę wdzięczności - dodał szorstko.

Nie ugięła się pod ciężarem jego karcącego spojrzenia. Dwanaście lat temu to byłoby ponad jej siły. To pewien postęp, pomyślała z satysfakcją.

- Ty też musisz coś wiedzieć, Jacob. Na temat twoich braci, twojej siostry i... mnie. Nie przepadamy za sobą. W naszych relacjach brakuje zaufania i akceptacji. Będę im wdzięczna, jeśli zachowają się tak, jak mówisz, lecz nigdy nie będę na tyle naiwna, by wmawiać sobie, że pomagają mi z własnej, nieprzymuszonej woli. Jeśli będą mi pomagać, to wyłącznie z twojego powodu.

- Mylisz się.

- Nie. - Jej oczy pociemniały, załśniły od bolesnych wspomnień. - Pójdę do Madeline na lunch, ale nie zjem z wami kolacji. Dziś wieczorem zostanę u wujka, by się zająć aspektem logistycznym mojej przeprowadzki i spakować trochę rzeczy. Wprowadzę się tutaj dopiero jutro. Dzięki temu zjesz sobie spokojnie kolację z rodziną. Wszyscy będą szczęśliwi - zakończyła z nieszczerym uśmiechem.

Jej odwieczna taktyka, pomyślał Jacob. Kiedy byli ze sobą, Jianne wyzbyła się własnych potrzeb, stawiając na pierwszym miejscu potrzeby wszystkich innych domowników. A oni jej na to pozwalali. To było haniebne i karygodne. Jako jej mąż i najstarszy z braci, całą winę za tę zbrodnię wziął na siebie.

- Nie - zaprotestował z żarem. - Pójdziemy na lunch do Madeline, potem do twojego wujka, by zabrać twoje rzeczy, a następnie wrócimy tutaj, żebyś się mogła spokojnie urządzić. Kolację z rodziną zjem kiedy indziej.

- Ale...

- Nie, Jianne. Po prostu nie. Dość tego.

Zgromił ją wzrokiem, po czym wyszedł z kuchni i udał się pod prysznicę przy do-jo. Rozebrał się do naga i wszedł do jednej z kabin. Prysznic najpierw zabulgotał, za-

zgrzytał, po czym wypluł kilka kropel letniej wody. W drugiej kabinie natrysk również szwankował. Trzeba będzie wezwać hydraulika. Zaklął pod nosem. Wrócił pod pierwszy prysznic. Letnie krople zaczęły obmywać jego twarz i ciało. Ze zdumieniem odkrył, że wzbiera w nim podniecenie. Nie! - zawołał w duchu. Nie wpadnę w pułapkę pożądania! Umyj się. Ubierz. Uwolnij Jianne od tego przekłętą faceta, a potem wyrzucić ją z mieszkania. Taki był jego plan. Przy okazji chciał ją jedynie nauczyć, by nie stawiała swoich potrzeb na szarym końcu, bo to się zawsze źle kończy. Był jej to winny.

TLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wczesnym popołudniem zjawili się u Madeline, która powitała ich serdecznie, wcielając się perfekcyjnie w rolę pogodnej, uśmiechniętej pani domu. Jej luksusowy apartament był przeciwieństwem zgrzebnego lokum Jacoba, a jej wylewna gościnność kontrastowała z mrukliwością najstarszego z Bennettów.

Luke, dostrzegłszy Jianne u boku Jacoba, kompletnie oniemiał, podobnie jak Hallie. Pete wybałuszył oczy, a Tristan spojrział na nią tak, jakby chciał ją rozerwać na strzępy. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Jacob odchrząknął i oświadczył:

- Jianne na jakiś czas zamieszka w moim dojo.

Po jego słowach zapadła cisza tak całkowita, że słyhać było, jak wszyscy obecni gwałtownie wstrzymują oddech. Na szczęście partnerki Bennettów potrafiły się znaleźć w tej krepującej sytuacji. Serena, żona Pete'a, pierwsza oprzytomniała. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Jianne i zaczęła gawędzić o byle czym z Erin, żoną Tristana, niejako przypominając Bennettom, że szok nie jest wystarczającym powodem do niekulturalnego zachowania.

- Zżera ją trema - powiedział Jacob do Madeline, obserwując, jak Jianne włącza się do rozmowy, którą toczyły między sobą żony Bennettów.

- Dziwisz się? - odparła Madeline. - Z wyjątkiem Sereny i Erin, którym jestem do zgonnie wdzięczna, żaden z was, przeklętych Bennettów, nie wie, jak się w jej towarzystwie zachować. Co ona wam takiego zrobiła? Próbowwała was otruć, udusić we śnie?

Jacob zgromił ją wzrokiem.

- W porządku, nie musisz mi się zwierzać - mruknęła urażona. - Weź sobie jednak do serca moją radę. Jeśli chcesz pomóc Jianne, zachowuj się tak, jakbyś był odprężony. Reszta twojego rodzeństwa to dostrzeże i pójdzie za twoim przykładem. Chcesz piwo czy coś mocniejszego?

- Piwo.

- Dobra. - Przyszła bratowa posłała mu promienny uśmiech. - Zobaczą, czy uda mi się namówić Ji na kieliszek szampana. Nadal uważam - dodała, odchodząc - że liliowy krawat byłby wprost zbawienny!

- Po moim trupie.

- Szkoda. - Madeline spojrzała na niego w swój charakterystyczny sposób. Jacob wiedział, że należy być czujnym na ten błysk w jej oku. - Na szczęście jestem kobietą, którą cechuje niecodzienna inwencja, jeśli chodzi o odkrywanie u mężczyzn ich łagodniejszej strony.

Po chwili w ramionach Jacoba wylądowała mała dziewczynka o anielskiej buzi. Nie miał wyjścia; jako dobry wujek musiał utulić Laylę. Wokół niego krążył Po jak zwykle z poważną miną, a Madeline zerknęła na niego co chwila z diabolicznym uśmiechem.

Jianne przez kilka pierwszych minut wizyty u Madeline czuła się całkiem niezłe. W każdym razie jakoś się trzymała. Wszystko się zmieniło w momencie, gdy ujrzała Jacoba trzymającego w ramionach małą Laylę. Od tej chwili jej serce zaczęło krwawić jak przebite nożem. Cierpiała, patrząc, jak mąż, którego kiedyś tak mocno kochała, tuli swoją siostrzenicę z taką ujmującą, męską i nieco niezdarną czułością. Dawniej sama pragnęła dzieci. W jej wyobrażeniach wspólnej przyszłości u boku Jacoba zawsze obecnych było kilkoro dzieci. Wspaniała, szczęśliwa rodzina...

Przełknęła gorzki smak, który w jej ustach zostawiło wspomnienie o tych marzeniach. Przyjęła kieliszek szampana, który wręczyła jej Madeline, i usiłowała uśmiechem zamaskować agonię, która rozrywała jej serce. Muszę się wziąć w garść, pomyślała. Jeśli chciała dalej odgrywać tę szopkę, musi z powrotem przywyknąć do przebywania w towarzystwie Jacoba i jego rodzeństwa. Musi znowu zacząć z nimi rozmawiać.

Wzięła głęboki wdech i skupiła uwagę na grupce ludzi, w skład której wchodził Luke, Tristan, Serena i Erin. Przywołała na usta uprzejmy uśmiech i zaczęła podziwiać na głos pierścionki Erin. Dowiedziała się po chwili, że Erin sama tworzy swoją biżuterię. Tym sposobem nawiązała się typowa pogawędka pomiędzy obcymi ludźmi, która ma sprawić, że lody zostaną przełamane, a chłodna atmosfera się ociepli. I wszystko szło w dobrym kierunku, dopóki do ich grona nie dołączył Jacob, nadal dźierzący w rękach senną Laylę. Rozmowa natychmiast zamarła. Kiedy cisza stała się wprost nie do wytrzymania, Tristan spojrzał na Jianne i zapytał, czy udało jej się skończyć studia projektowania graficznego.

- T-tak - wyjąkała, zdumiona, że taka drobnostka zapadła mu w pamięć. - Skończyłam. A teraz zajmuję się tworzeniem projektów dla rozmaitych klientów. Głównie dla międzynarodowych firm potrzebujących nowych znaków graficznych. No wiesz, chodzi o loga i tym podobne.

- Naprawdę jesteś zmuszona do pracy zarobkowej? - odezwał się nagle Jacob. - Co się stało z twoim funduszem powierniczym?

- Zainwestowałam go i pomnożyłam - poinformowała go rzeczowo. - Jeśli zatem pytasz, czy potrzebuję pieniędzy, które dostaję za swoją pracę, odpowiedź brzmi: nie. Jeśli natomiast pytasz, czy lubię pracować i wierzyć, że to, co robię, ma jakiś sens i wartość, odpowiedź brzmi: tak. - Była zdumiona, że udało jej się ułożyć tak zgrabną i pewną siebie wypowiedź.

Jacob spojrział na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Głos znowu zabrał Tristan:

- Jesteś w stanie dalej pracować, mieszkając w Singapurze?

- Tak, bez problemu. Mam tu sporo klientów, podobnie jak w Hongkongu czy Szanghaju.

- Potrzebujesz siedziby dla swojej firmy? - zapytał Jacob.

- Już mam własne biuro.

- Czy jest bezpieczne?

- Tak, znajduje się w kompleksie biurowym, który należy do mojego wujka.

Malutka Layla nagle kopnęła nóżką w twarde jak mur tors wujka Jacoba. Wszyscy obecni parsknęli śmiechem, prócz Jianne, która poczuła ostre ukłucie w sercu.

- Mała ma talent - orzekł Luke, po czym przeniósł spojrzenie na Jianne. - Chciałabyś ją potrzymać?

- Słucham?

- Ty jako jedyna spośród obecnych jeszcze się nią nie zajmowałaś.

- No... dobrze - wyjąkała z bladym uśmiechem.

Oczy Jacoba były ciemne, przepełnione jakąś niezidentyfikowaną emocją. Po jego pełnych ustach nie błąkał się nawet cień uśmiechu. Ułożył ostrożnie Laylę w ramionach Jianne.



- Mamy pewną niepisaną zasadę - zaczął wyjaśniać beznamiętnym głosem. - Każdy musi trzymać Laylę przez co najmniej kwadrans, zanim przekaże ją komu innemu. Pilnuj czasu, bo moje rodzeństwo jest gotowe nie upominać się o małą przez wiele godzin - poradził jej nieco serdeczniej.

- Nie dam się oszukać - odparła, obdarowując szczerym uśmiechem śpiącego aniołka. - Jest taka malutka. - Najsubtelniej jak umiała pogładziła rumiany, gładziutki policzek Layli. - Taka krucha. Boję się, że uszkodzę ją samym oddechem.

- Ja mam tak samo - wyznał Jacob dziwnym, przepełnionym bólem głosem, który sprawił, że Jianne po chwili uniosła wzrok, lecz on już się odwrócił i odszedł. Stał w rogu pokoju w towarzystwie Po, który kolejny raz obrzucił ją swoim enigmatycznym spojrzeniem.

Jianne nawet nie zauważyła, kiedy popołudnie zmieniło się w wieczór. Po wyblagał możliwość przenocowania u Madeline, natomiast wszyscy inni udali się na wspólną kolację do restauracji. Wszyscy z wyjątkiem Jianne i Jacoba, których taksówka zawiozła z powrotem do dojo. W aucie nie odezwali się do siebie ani słowem. Kiedy dojechali na miejsce, Jacob wniósł bagaże Jianne do swojego mieszkania - od teraz jej mieszkania. Zabrał naręczę swoich ubrań i stojąc już w drzwiach, oznajmił, że idzie do baru po drugiej stronie ulicy kupić coś tajskiego na wynos, a potem poczeka na Jianne na dole w kuchni.

- Zaczekaj chwilę - zawołała za nim.

Odwrócił się powoli. Jego błękitne oczy były czujne. Jianne uśmiechnęła się, by nieco ocieplić atmosferę. To był błąd. Spojrzenie Jacoba stało się jeszcze bardziej podejrzliwie i pochmurne.

- Wciąż uważam, że powinieneś tu zostać, a mnie ulokować w jednym z pokoiów gościnnych.

- Nie zaczynaj - warknął ostrzegawczo.

- Jacob, nie jestem dzieckiem, które można w ten sposób strofować - odgryzła się odważnie. - Mam prawo do posiadania i wygłaszania własnych opinii.

- Owszem. Wygłosiłaś swoje zdanie dziś rano. Na co ja odpowiedziałem, że jeśli chcesz tu zostać, będziesz spać w moim mieszkaniu. Jest tu bezpieczniej i wygodniej.

- Ale to twoje mieszkanie!

- Już nie - uciął stanowczo. - Coś jeszcze?

Tak. Ogarnęła ją przemożna ochota, by go dotknąć. Wiedziała, że to byłby ogromny błąd, lecz musiała aż mocno spleść dłonie, by pohamować ten odruch. Zamiast tego wydukała:

- Dziękuję. Za pomoc.

- Drobiazg - mruknął.

- Nie, dla mnie to nie drobiazg. Tutaj czuję się bezpiecznie. Od dawna nie czułam się tak bezpieczna i... silna.

- To dlatego, że wreszcie przejęłaś kontrolę nad sytuacją. - Nagle na jego twarzy pojawił się ten wyjątkowy uśmiech, zarezerwowany wyłącznie dla niej. Pamiętała go tak dobrze. I uwielbiała tak bardzo.

- Odważyłam się na to dzięki tobie.

Wyciągnęła rękę i musnęła nią jego dłoń. Wiedziała, że pożądanie, które w niej obudził, nadal buzuje pod jej skórą, pod maską spokoju i opanowania. Tak samo jak ukryta w jej sercu rozpacz. Jacob zadrżał i przymknął oczy. Jego długie, czarne rzęsy rzucały cień na policzki. Gwałtownie odsunął dłoń i zrobił krok w tył, jakby dotyk Jianne go oparzył.

- Przestań - syknął.

Jianne, nie tracąc nad sobą panowania, powiedziała po chwili:

- To tylko dotyk, Jacob.

- Nie rób tego - zażądał lodowato, choć jego oczy zabłyśły płomiennym pożądaniem. - Nie tutaj. Nie kiedy jesteśmy sami. To prosta droga do piekła.

Odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach, jakby uciekał przed dzikimi demonami.

Gdy z hukiem zatrzaskały drzwi, Jianne jęknęła głośno. To było ostrzeżenie. Jacob nie życzył sobie bliższych relacji w żadnej postaci. Mały, wąty płomyk nadziei, który mimowolnie pielęgnowała w sercu, zgasł. Rozejrzała się po mieszkaniu, w którym panowała ciemność rozpraszana jedynie światłem latarni ulicznych i neonów, barwiących jedną połowę mieszkania na czerwono, a drugą na niebiesko. W oknach nie było zasłon,

jedynie rozklekotane, powyginane żaluzje. Jak jej się uda tu zasnąć? Rzuciła okiem na łóżko. Łóżko Jacoba. Prześcieradła i poszewki były świeże, tak samo jak szara narzuta. Ślad po Jacobie znalazła na ustawionym przy półce z książkami sfatygowanym fotelu, w którym wyraźnie odcisnięty był ślad ciała właściciela. W powietrzu nadal unosiły się resztki jego zapachu, drażniąc jej zmysły, wywlekając z zakamarków jej pamięci obrazy ich wspólnych nocy.

Rozpakowała się bez pośpiechu. Gdy układała przybory toaletowe w łazience, do jej głowy wdarła się myśl: czy Jacob nadal śpi nago? Zrzuciła z siebie ubrania i wzięła długi prysznic, lecz to pytanie oraz towarzyszące mu obrazy nie dawały jej spokoju.

Jacob był zdumiony, że po tylu latach dokładnie pamięta, jakie potrawy z kuchni tajskiej lubi najbardziej Jianne. Po złożeniu zamówienia stał przed restauracją, rozglądając się dookoła, szukając jakichkolwiek podejrzanych osób. Znał z widzenia większość mieszkańców tej okolicy. Bez problemu wyłowił z tłumu psychopatę, który zatruwa życie jego żonie. Wiedział, że Zhi Fu może kupić tu jakieś lokum, by mieć do niej łatwy dostęp. Spojrzał w poprzecinane żaluzjami okna swojego domu, próbując ocenić, czy mieszkanie jest wystarczająco bezpieczne oraz czy ktoś znajdujący się w budynku naprzeciwko jest w stanie podglądać Jianne.

Przeklął siebie w myślach za to, że nigdy nie chciało mu się naprawić żaluzji.

Odebrał zamówione jedzenie, przebiegł przez ulicę i zanurzył się w ciemną, boczną uliczkę, chcąc wejść do budynku od kuchni, a nie głównym wejściem. Drzwi były stare, zamek zardzewiały, dziecinnie prosty do otwarcia wytrychem. Pomyślał, że chyba najwyższy czas zainstalować system alarmowy.

Jianne otworzyła drzwi, zanim zdążył włożyć klucz do dziurki.

- Nigdy tego nie rób - warknął rozgniewany.

- Wybacz, ale nie wiedziałam, że jestem w więzieniu.

- Jeśli chcesz tu mieszkać, musisz się mnie słuchać - uciał dyskusję. Zatrzasnął za sobą drzwi i postawił jedzenie na stole, próbując ignorować przepelniający powietrze zapach świeżo wykąpanej Jianne. Usiłował zignorować również swój przyspieszony puls na widok jej pięknego ciała odzianego w krótką, zwiewną spódniczkę i obcisłą bluzeczkę

na ramiączkach. - Za każdym razem przed otwarciem drzwi sprawdź, kto za nimi stoi. Zwłaszcza kiedy jesteś sama w domu.

- To lekka psychoza...

- Prześladowuje cię psychopata, Jianne - przypomniał jej szorstkim tonem. Dłuższą chwilę szperał w kuchennej szufladzie, wreszcie wyciągnął pałeczki, łyżki i widelce. Jianne zdjęła z półki szklanki, sos sojowy i sól. - Czego się napijesz? Jest piwo, szkocka i woda. W dojo mamy też automat z colą i napojami energetycznymi. Jeśli nic z tych rzeczy ci nie odpowiada, za rogiem jest supermarket.

- Wystarczy woda. Albo piwo, jeśli sam też się napijesz.

Jacob wyjął z lodówki zarówno wodę, jak i piwo, by Jianne sama zdecydowała. Przypomniał sobie, jak dawniej potrafiła zaprowadzić ład i porządek w domu pełnym bałaganu i chaosu. Kazała jego braciom myć ręce przed posiłkiem. Nakrywanie do stołu było dla niej niemal świętą ceremonią. On, niestety, pod tym względem był kompletnym abnegatem.

- Nie ma misek - oświadczył nieco zmieszany. - Ostatnią wziął Po do mieszania farby. Są tylko stare talerze. Wiem, to poniżej twojego poziomu - dodał bez ironii.

- Przecież nie narzekam.

- Nigdy nie narzekasz - odparł z wyrzutem. - Dlatego ludziom trudno jest się dowiedzieć, co myślisz. I czego chcesz.

Puściła mimo uszu jego krytykę.

- Usiądźmy i zjedźmy - zaproponowała ugodowo.

Tak też uczynili. Po jakimś czasie milczenie zaczęło im ciążyć, stało się kłępujące. Jacob uznał, że dobre maniery wymagają tego, by zagał grzeczną rozmowę.

- Dlaczego wybrałaś Singapur?

- Tu mieszka mój wujek z ciocią. Oraz niektórzy z moich klientów. - Po chwili wahania dorzuciła: - Oraz... ty. Doszłam do wniosku, że byłoby dobrze, gdyby Zhi Fu pomyślał sobie, że przyjechałam tutaj, by znowu się z tobą spotykać.

- Skąd wiedziałaś, że tu mieszkam?

- Dowiedziałam się od jednego z twoich kuzynów. Zawsze znają twoje aktualne miejsce pobytu.

- Jakim cudem?

- Wpisują twoje nazwisko w Google.

- Ach. - Zaklął w myślach. Nie wiedział, że tak łatwo go wytropić.

- Poza tym mistrz świata karate jest w pewnym sensie celebrytą - dodała z łagodnym uśmiechem. - Wiedziałeś, że masz internetowy fanclub? Są tam twoje zdjęcia, biografia, filmiki...

- Możemy o tym nie rozmawiać? - burknął. - Nigdy.

Jianne wzruszyła ramionami, wbijając pałeczkę w krewetkę.

- Lubisz pracę trenera?

- Nigdy nie planowałem być nauczycielem karate. Przyszedłem do tego dojo po zdobyciu pierwszego tytułu mistrza świata. Czuję się zmęczony i wypalony. Przez tydzień ćwiczyłem tu pod okiem starego senseia, by udoskonalić swoją technikę, naładować się nową energią. Powróciłem po trzech miesiącach. Wracalem za każdym razem, kiedy mogłem. Gdy mistrz postanowił sprzedać to dojo i wrócić do Tajlandii, doszedłem do wniosku, że właśnie tutaj chcę zarzucić kotwicę.

- Tęsknisz czasem za Australią?

- Nie.

- A za rodziną?

- Luke też mieszka w Singapurze. A reszta często tutaj wpada.

- Twój ociec też cię odwiedza?

- Rzadko.

- Czy pogodził się wreszcie ze śmiercią twojej matki?

Chwila milczenia.

- Nie.

- Czy kiedykolwiek wybaczyłeś mu - kontynuowała swój wywiad Jianne - że nie był przy tobie, kiedy najbardziej go potrzebowałeś?

- A jak myślisz? - odparł, zatapiając w niej mroczne spojrzenie.

- Nie wiem. Dlatego pytam. - Po chwili zapytała poważnym tonem: - A czy przebaczyłeś... mnie?

Westchnął głośno. Nawet nie wiedział, w jakie słowa ubrać to, co czuł i co chciał powiedzieć. To takie bolesne i zagmatwane.

- Jianne, kiedy poprosiłem cię o to, byś została częścią rodziny Bennettów, nie miałem pojęcia, w co cię pakuję. Nie miałaś w nas żadnego wsparcia. Nie pomagałem ci. Nigdy nie winiłem cię za to, że odeszłaś od nas. Ode mnie.

Skłamał. Zgodne z prawdą byłoby stwierdzenie: „prawie nigdy”.

Jianne nałożyła sobie na talerz głodową ilość gotowanych warzyw, aby zjeść je wraz z równie skromną porcją krewetek. Jacob spojrział na nią z dezaprobatą.

- Powinnaś więcej jeść - mruknął.

- Dlaczego zgodziłeś się mi pomóc? - zapytała, zmieniając temat.

- Ponieważ potrzebujesz pomocy.

- Tylko dlatego?

Milczał przez dłuższą chwilę, po czym oświadczył:

- Jestem ci to winny. Zrobiłbym wszystko, o co byś mnie poprosiła.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Tak bardzo zdumiało ją nagłe wyznanie Jacoba. W milczeniu skończyli posiłek. Jacob nie pozwolił jej pomagać przy zmywaniu starych, wyszczerbionych naczyń. Nie miał jednak nic przeciwko temu, by sprzątnęła ze stołu i włożyła resztki kolacji do lodówki.

- Idę do swojego gabinetu. Mam trochę papierkowej roboty - poinformował ją niemal urzędowym tonem. - Potrzebujesz czegoś ze swojego mieszkania? Ubrań? Kosmetyków?

- W tej chwili nie. Resztę swoich rzeczy zabiorę jutro, kiedy będziesz w pracy. - Jasne było, że chce ograniczyć ich kontakt do niezbędnego minimum. - Kiedy jest to przyjęcie, na którym mam ci towarzyszyć?

- W piątek. - Czyli za pięć dni.

- W porządku - odparł lakonicznie.

- W takim razie... dobranoc?

- Dobranoc. - Skinął głową i odwrócił się.

Jianne weszła po schodach i zamknęła za sobą drzwi. Umyła zęby i jak każdego wieczoru zaplotła włosy, by podczas snu się nie skołtuniły. Przebrawszy się w koszulkę

nocną, zaczęła chodzić wokół łóżka Jacoba, czując dziwny opór przed tym, by się na nim położyć. W końcu wśliznęła się pod kołdrę. Natychmiast ogarnęła ją dziwna zmysłowość. Obudziła się w niej silna tęsknota za... Zamknęła oczy, zacisnęła wargi i pozwoliła, by jej umysł zalały wspomnienia upojnych chwil, które dawno temu przeżywała z Jacobem.

Minęła pierwsza w nocy. A potem druga. Sen nie chciał jednak na nią dobrotliwie spłynąć. Nadal czuła w ciele to niepokojące podniecenie. Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła z łóżka, kilka razy przemierzyła wszerz i wzdłuż wielkie mieszkanie, a następnie usiadła z podkulonymi nogami na fotelu Jacoba i omiotła wzrokiem jego bibliotekę, czytając po kolei tytuły na grzbietach książek. Uczyniwszy to, zatopiła się w rozmyślaniach. Wiedziała, w czym problem. Każdy znajdujący się w tym mieszkaniu przedmiot był naznaczony jego dotykiem, jego obecnością. To była istna tortura. Wreszcie o trzeciej nad ranem zaczęły jej się kleić oczy. Dowlokła się do łóżka, położyła pod kołdrą i nareszcie poczuła, że jej ciało zaczyna się przyjemnie kołysać na fali słodkiego snu...

Nagle obudził ją jakiś głuchy odgłos.

Ktoś hałasował na dole. Jęknęła głośno, wytoczyła się z łóżka i bezgłośnie otworzyła drzwi. Schody nawet nie skrzypnęły pod jej stopami. Usiadła na stopniu i zerknęła w głąb sali treningowej, w której, identycznie jak w mieszkaniu na górze, ciemność przecinały jedynie promienie księżyca oraz blask kolorowych neonów. W rogu sali stał odwrócony do niej plecami mężczyzna. Miał na sobie tylko bawełniane spodnie, które prawie ześlizgiwały mu się z bioder. Uderzał w zwisający z sufitu worek treningowy. Jego ciosy pełne były surowej agresji, lecz również pewnego rodzaju desperacji. Jianne przez kilkanaście minut patrzyła jak zahipnotyzowana na Jacoba, na mięśnie jego pleców, które napinały się przy każdym uderzeniu. Wreszcie wróciła na górę, wśliznęła się do jego łóżka i przymknęła powieki. Jej uszy nadal drażniło rytmiczne dudnienie.

Tej nocy nie było jej dane zaznać snu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

O ósmej rano była gotowa, by zejść na dół. Szkopuł w tym, że schody prowadziły prosto do sali treningowej. Innej drogi nie było. Nie było możliwości, by wyszła z mieszkania niezauważona. Ociągała się z wyjściem, próbując zapanować nad nerwami. Wreszcie znalazła w sobie dość siły, by to zrobić.

Miała na sobie szare spodnie, buty na wysokim obcasie i jaskraworóżową koszulę bez rękawów. Włosy ułożyła we francuski kok. Wyglądała jak seksowna, lecz elegancka kobieta sukcesu, niemniej zdawała sobie sprawę, że w tej świątyni półnagich, oblanych potem wojowników sprawia wrażenie istoty z innej planety. Takiego samego zdania byli niewątpliwie uczniowie Jacoba, ponieważ na widok Jianne wszyscy bez wyjątku zamarli i oniemieli, wodząc za nią wybałuszonymi oczami, gdy ostrożnie schodziła po stromych schodach.

Tylko Jacob jej nie dostrzegł. Stał w dalekim kącie, grzebiąc w wielkiej skrzyni ze sprzętem. Chciała, by na nią spojrzął; mogłaby wtedy po prostu nieznacznie skinąć głową i czym prędzej stąd wyjść. Usłyszawszy nienaturalną ciszę, która zapadła w sali, odwrócił się nagle, uniósł wzrok i ją dostrzegł. Wolnym krokiem ruszył w jej kierunku. Jak na człowieka, który przez pół nocy tłukł w worek treningowy, wyglądał na zaskakująco wypoczętego. Jianne musiała natomiast pokryć twarz grubą warstwą makijażu, by zatrzeć ślady, które odcisnęła na niej bezsenna noc.

- Idziesz do pracy? - zapytał swoim niskim, męskim głosem, który zawsze tak bardzo na nią działał. Na widok jego potężnego, opiętego obcisłym podkoszulkiem torsu zaschło jej w ustach. Dlaczego, do diabła, jego ciało musi być aż tak idealne w każdym, najdrobniejszym szczególe? W odpowiedzi na jego pytanie skinęła jedynie głową. - Jak się tam dostaniesz?

- Zamówiłam taksówkę - wydukała, zwilżywszy językiem wargi.

- A jak wrócisz?

- Tym samym sposobem.

- Mogę przyjechać po ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko przejażdżce motocyklem.



- Nie mam.

- Może być o wpół do szóstej?

Znowu skinęła głową i podyktowała mu adres. Kiedy notował go na kartce, przyjrzała mu się dokładniej. Miał na sobie jedynie T-shirt i luźne, bawełniane spodnie; z jakiegoś powodu nie nosił jednak swojego czarnego pasa. Omiotła wzrokiem nadal tkwiących w bezruchu uczniów. Byli to głównie młodzi mężczyźni, wszyscy ubrani w takie same czarne spodnie jak Jacob. Niektórzy mieli podkoszulki w rozmaitych kolorach, inni demonstrowali nagie torsy. Zauważyła, że w tej klasie nie było żadnych kobiet.

- To moja najlepsza klasa. Zaawansowany poziom - poinformował ją, dostrzegłszy jej zainteresowanie. - Większość z nich przychodzi tu od lat.

Każdy z mężczyzn nadal gapił się na nią ze zdumioną miną.

- Można by pomyśleć, że nigdy nie widzieli żadnej kobiety schodzącej z tych schodów - rzuciła nerwowo.

- Bo nie widzieli.

- Ach... - Zaszokowała ją odpowiedź Jacoba. Po chwili jednak doszła do wniosku, że zapewne wyprowadza stąd swoje kochanki dyskretnie w przerwach między treningami. - Co mam teraz zrobić? To znaczy, w ramach udawania, że jesteśmy razem. Pocałować cię na dzień dobry?

- Zły pomysł - mruknął. - Po prostu uśmiechnij się i wyjdź.

Spełniła jego żądanie. Odgłos stukania obcasami, który rozchodził się echem po całej sali, wydał jej się wysoce niestosowny i niepoważny w tym pomieszczeniu pełnym męskich do bólu wojowników. Doszedłszy do drzwi, odwróciła się i spojrzała na Jacoba, który dołączył już do swoich uczniów. Jakby wyczuwając na plecach jej spojrzenie, odwrócił się w zwolnionym tempie. W jego błękitnych oczach dostrzegła coś dziwnego, jakąś surową, silną emocję, którą bała się nazwać, a która kazała jej się cieszyć, że odmówił pocałunku na do widzenia.

Lepiej nie wypuszczać bestii z klatki, pomyślała, otwierając drzwi. Nie wiedziała jednak, czy ma na myśli Jacoba, czy siebie.

Punktualnie o wpół do szóstej Jianne zamknęła swój laptop, oparła się wygodnie w fotelu i rozprostowała nogi. Westchnęła głośno. Jej najnowszym klientem była grupa ho-

telowa z główną siedzibą w Hongkongu, która zakupiła sieć hoteli w Australii i Nowej Zelandii. Powierzyli Jianne zadanie zaprojektowania dla nich nowego logo. Miało być „nowoczesne, lecz z nutką tradycji”. Miała kilka pomysłów, lecz nie mogła się zdecydować, który jest wart rozwinięcia i realizacji.

Zadzwonił telefon.

- Halo, tu JB Graphics.

- Co oznacza „B” w nazwie twojej firmy? - zapytał Jacob.

- Bennett - odpowiedziała dopiero po chwili. W słuchawce zapadła krępująca cisza.

- Właśnie skończyłam pracę. Gdzie jesteś?

- Czekam na ciebie przed budynkiem.

- Zaraz tam będę.

Rozłączyła się, zgarnęła z biurka torebkę, zgasiła światło w gabinecie, zamknęła drzwi i zjechała windą na sam dół. W budynku panowała idealna cisza, która prysła w ułamku sekundy, gdy Jianne otworzyła szklane drzwi wyjściowe. Uderzyła ją fala wielkomiejskiego hałasu i piekielnego upału. Centrum Singapuru. Przeszła przez płynący po chodniku rwący strumień przechodniów, głównie mężczyzn i kobiet w strojach biznesowych, i nagle go ujrzała. Wojownik o twarzy posępnego anioła, oparty o wielki, czarny motocykl. Nie przywitał jej uśmiechem, gdy stanęła dwa kroki od niego.

- Myślałem, że działasz pod swoim panieńskim nazwiskiem - powiedział jedynie.

- To źle myślałeś. - Nastąpił pojedynek na spojrzenia. Nie wiedziała, co się kryje za przypominającymi bryły lodu oczami Jacoba. - Oczywiście, jestem wdzięczna rodzicom za wsparcie, którego mi udzielili. To dzięki nim mam własne biuro i bardzo długą listę kontaktów. Nie używam jednak ich nazwiska. Klienci znają mnie jako Jianne Xang-Bennett. Tak mam wpisane w paszporcie. I w prawie jazdy. Czy to dla ciebie problem?

- Nie. - Przechesał dłonią swoje gęste, ciemne włosy. - Nie, żaden problem. - Zatopił w niej badawcze spojrzenie. - Musisz rozpuścić włosy, by nałożyć kask. Masz coś przeciwko?

Pokręciła głową i zaczęła wyjmować z włosów szpilki.

- Odwróć się. Pomogę ci.

Znał na pamięć ich dokładne położenie. W czasach, gdy żyli razem, nie raz asystował Jianne przy ich wyjmowaniu. Czerpał z tej czynności intensywną przyjemność. Kiedy ostatnia szpilka została usunięta, kaskada włosów spłynęła na plecy Jianne oraz na dłonie Jacoba. Przeszedł go dreszcz. Nagle się odwróciła, przez co jego zawieszony w powietrzu dłoń wylądowały na jej nagich ramionach. Przełknął głośno.

Jianne wstrzymała oddech. Znajdowała się tak blisko jego potężnego ciała. Spojrzała na jego usta, które dawniej tak pięknie się uśmiechały, tak namiętnie całowały. Utkwiła wzrok w jego błękitnych oczach, które w zależności od jego nastroju zmieniały swą barwę aż po ciemny szafir. Opuszki jego palców były twarde. Wodził nimi powoli po jej skórze, wywołując w jej piersi ciche wybuchy rozkoszy. Zrobiła pół kroku do przodu. Jego tors przyciągnął jej dłonie niczym magnes. Poczowała, jak w całym jej ciele zaczyna pulsować dobrze jej znane pożądanie. Jacob przymknął powieki, jego długie rzęsy rzucały cień na policzki.

- Czy on tu jest? - wyszeptał. - Patrzy na nas?

- Nie wiem. - I nic mnie to nie obchodzi, dodała w myślach. - Może tak, może nie. W każdym razie zgromadziliśmy już małą widownię. - Zawsze tak było. Kiedy byli razem, gdziekolwiek się pojawili, przyciągali ludzkie spojrzenia. Być może dlatego, że byli różnych ras. A może dlatego, że tworzyli tak efektowną, piękną parę. - Odegramy coś dla nich?

- Chyba powinniśmy. Ci zabiegani pracoholicy zasługują na odrobinę rozrywki. Poza tym - dodał już poważnym tonem - jeśli chcesz mnie pocałować, by ludzie pomyśleli, że znowu jesteśmy razem, jest to odpowiedni moment.

- Jesteś pewny?

- Nie, ale zaryzykujemy.

Jacob myślał, że stojąc tu na chodniku, na oczach obcych ludzi, będzie w stanie nad sobą zapanować. Przecież to tylko nic nieznaczący, udawany pocałunek. Nie spodziewał się jednak, że namiętność, która w ułamku sekundy między nimi wybuchła, będzie tak potężnym żywiołem. Im dłużej ją całował, tym głodniejszy się stawał. Rosnące w błyskawicznym tempie pożądanie wciągało go niczym wir, coraz głębiej i głębiej... Stop! - zawołał w myślach. Przerwał pocałunek. Oparł czoło o jej czoło, próbując uspo-

kość dudniące w jego piersi serce. Smak jej ust rozlewał się po całym jego wnętrzu niczym gorący miód. Musiał odzyskać kontrolę, czyli to, czego się najbardziej w życiu trzymał. Kurczowo.

- Wskakuj - wyszeptał. - Jedziemy.

Oboje nałożyli kaski. Jacob wsiadł na motor i poczekał, aż Jianne zajmie miejsce tuż za nim. Oplotła go ramionami w pasie i przywarła do jego pleców. Silnik zawarczał jak rozjuszony tygrys. Motocykl włączył się gładko w ruch uliczny. Jacob wiedział, że nie może w tym stanie wrócić do dojo. To zbyt niebezpieczne. Nadal czuł na wargach i języku smak jej ust. Pożądanie nadal krążyło w jego żyłach, nie chciało zgasnąć, karmiąc się ciepłem jej przytulonego do niego ciała.

Wiedział, że romans z Jianne byłby gigantycznym błędem. Po pierwsze, już kiedyś złamała mu serce, a on nie miał ochoty drugi raz przechodzić przez to piekło. Po drugie, ona ewidentnie tego nie chciała; poprosiła go jedynie o ochronę oraz stwarzanie pozorów bycia parą, na co zresztą zgodziła się z niechęcią i rezygnacją. Zgłosiła się do niego dopiero wtedy, gdy poczuła się naprawdę zagrożona ze strony Zhi Fu - przypomniał sobie z dziwnym ukłuciem bólu w sercu. Przez tyle lat go nie potrzebowała. Teraz powinien się przynajmniej cieszyć, że Jianne mimo wszystko mu ufa. I wierzy, że może ją ochronić.

Żadnych pocałunków. Żadnych zbliżeń. Żadnych głupstw.

Zacisnął zęby i dodał gazu. Wybrał okrężną drogę do domu, zatrzymując się nagle przy centrum handlowym. Postanowił udać się z Jianne do sklepu, by kupić kilka nowych misek i talerzy. Kierowało nim przeświadczenie, że wspólne zakupy artykułów gospodarstwa domowego są najmniej romantyczną i zmysłową rzeczą, jaką można sobie wyobrazić, i cała akcja skutecznie ugasi pragnienie, które wzniecił w nim pocałunek. Szybko pożałował swojej decyzji. Co prawda szukanie misek i talerzy było zajęciem prozaicznym i męczącym, lecz śmiech Jianne, jej ekscytacja, dobry humor, a przede wszystkim jej ciągła bliska obecność sprawiły, że jego plan okazał się fiaskiem. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu, z dala od Jianne.

- Jeśli czegoś będziesz potrzebowała - zaczął, gdy dotarli do dojo - zgłoś się do Po. Zawsze krąży gdzieś w pobliżu. Ja za pół godziny muszę sędziować w kilku walkach.

Organizujemy minizawody, co oznacza, że zapewne zjawi się kilku widzów. Zhi Fu może się wśliznąć do dojo, a ja, pochłonięty sędziowaniem, nie zauważę tego. Dlatego muszę wyznaczyć kogoś, kto będzie miał na ciebie oko. Kogoś, komu ufam.

- Naprawdę uważasz, że to niezbędne?

- Nie wiem. Miałaś od niego dziś jakieś wieści? - zapytał, mając na myśli Zhi Fu.

- Nie - odparła zgodnie z prawdą.

- W pracy wydarzyło się coś niecodziennego? Głuche telefony? Podejrzane mejle?

- Nie. On może nawet nie wie, gdzie jestem.

- Prędzej czy później się dowie, Jianne. Jeśli jest tak opętany obsesją na twoim punkcie, jak twierdzi Madeline, i jeśli jest tak nieobliczalny i niebezpieczny, jak sądzi twój wujek, istnieje duże prawdopodobieństwo, że już wie.

- Być może. - Dla odrobiny świętego spokoju i komfortu psychicznego wypierała tę myśl. Tak bardzo była już zmęczona tą historią. - O której zaczynają się zawody?

- Za godzinę.

Jacob poszedł się przebrać w strój sędziego i przygotować salę, natomiast Jianne spędziła trzy kwadransy w kuchni, rozpakowując i rozstawiając piękne talerze i miski z chińskiej porcelany, które kupili. Wkrótce w dojo uzbierał się mały tłum widzów. Zaczęły się zawody, które aż do samego końca przebiegły bez żadnych zakłóceń i incydentów. Zhi Fu się nie zjawił.

Późnym wieczorem Jianne, Po i Jacob zjedli w kuchni smaczną chińszczyznę zamówioną w barze za rogiem, przełożoną w nowe naczynia. Po posiłku Jacob jak zwykle wziął się za zmywanie, zakazując Jianne włączać się do tej czynności, a Po posprzątał na stole i bez słowa wyszedł. Wrócił po minucie z jeszcze bardziej niż zwykle tajemniczą miną, po czym dał Jianne w prezencie pół tuzina ślicznych, lawendowych mydełek. Jianne podziękowała mu z uśmiechem, natomiast Jacob, nadal stojąc przy zlewie, warknął głośno, łypiąc okiem na prezent, a potem na Po, który uciekł z kuchni ze spuszczoną głową.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Druga noc, którą Jianne spędziła w łóżku Jacoba, nie różniła się od pierwszej. Przez nieszczelne żaluzje sączyło się do środka światło neonów, deszcz bębnił irytująco o dach i szyby, sen nie chciał łaskawie przyjść, erotyczne fantazje wyświetlały się pod jej powiekami, ilekroć zamknęła oczy. Wreszcie wstała, wzięła ze sobą koc i usiadła w fotelu Jacoba. Zdesperowana, zaczęła lekturę książki, którą pożyczył jej wujek: *Historia cywilizowanego świata*. Miała nadzieję, że ciężka i nudna treść skutecznie ją uspi. Pomyślała, że jeśli to nie zadziała, zejdzie na palcach do kuchni i przyniesie sobie dużą szklaną szkockiej whisky. Bała się jednak, że spotka po drodze Jacoba. Postanowiła więc jutro po pracy kupić butelkę mocnego trunku i trzymać ją przy łóżku, by uniknąć nocnych wypraw do kuchni.

O wpół do jedenastej usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała, zarzucając na siebie płaszcz przeciwdeszczowy.

Jej koszulka nocna była zbyt kusa i prześwitująca, by komukolwiek chciała się w niej pokazać. Zwłaszcza Jacobowi.

- Po. Przyniosłem herbatę.

Otworzyła drzwi. Chłopiec trzymał w rękach tackę, na której stał kubek herbaty, kilka kostek cukru oraz łyżeczka. Jego twarz była jak zwykle skupiona i poważna.

- To specjalna herbata ziołowa o działaniu uspokajającym - wyjaśnił. - Pomyśleliśmy, że pomoże pani zasnąć.

Nie pytała, skąd wiedzieli, że nie śpi. Zapewne słyszeli, jak spaceruje po mieszkaniu.

- O, to bardzo miłe z waszej strony.

Po spojrzął na nią zdezorientowany, dostrzegłszy jej płaszcz.

- Czy pani się gdzieś wybiera?

- Nie. Idę do łóżka. Jak tylko wypiję herbatę.

Chłopiec podał jej tackę, po czym zaczął się wpatrywać w sufit.

- Czego tam szukasz? - Miała nadzieję, że nie szczurów, które mogły się zagnieździć pod stropem w tym starym budynku.

Wzdrygnęła się na samą myśl.

- Sprawdzam, czy dach nie przecieka.

- I?

- Nie przecieka.

- To chyba dobrze? - Nie odpowiedział. Nie potrafiła rozgryźć tego tajemniczego chłopca. - Dziękuję za herbatę.

- Sensei kazał mi panią powiadomić, że o szóstej rano zacznie się lekcja kick-boxingu. Hałas zapewne panią obudzą, lecz zajęcia potrwają tylko godzinę. Następny trening zaczyna się o dziewiątej.

- Przekaż senseiowi, że dziękuję za informację.

- Sensei powiedział również, że pomiędzy siódmą trzydzieści a ósmą trzydzieści może podzucić panią do pracy - wyrecytował chłopiec monotonnym głosem.

- Przekaż mu, że wezmę taksówkę.

- Coś jeszcze mam mu przekazać?

Jianne uśmiechnęła się słodko.

- Tak. Powiedz mu, że jego łóżko jest bardzo wygodne i że życzę mu słodkich snów.

Chłopiec uklonił się i odszedł.

Herbata, choć bardzo smaczna, nic a nic nie pomogła. Senność dalej uparcie nie chciała spłynąć na Jianne. Przewracała się niespokojnie z boku na bok, blask neonów wdzierał się pod jej powieki, odgłosy deszczu wwierały się w jej uszy, a przede wszystkim spokoju nie dawało jej wspomnienie pocałunku, przez który jej zmysły tej nocy były tak rozbudzone i nadwrażliwe. Niczym rosnący płomień, trawiło ją pragnienie, które mogłaby ugasić tylko jedna osoba...

Rano, pomiędzy treningami karate, Jianne zeszła na dół gotowa, by udać się do pracy. Miała na sobie skromną brązową spódniczkę oraz zwiewną białą bluzkę. Jacob powitał ją skinieniem głowy. Był jej wdzięczny za to, że pojawiła się w kuchni w takim stanie, ze związanymi włosami, z każdym guziczkiem starannie zapiętym i nieco wyniosłą, obojętną miną, nie epatując go swoją niesłychaną zmysłowością. Pomimo tego, że Jianne na co dzień zachowywała się jak dystygowana księżniczka, miała też drugie, zu-

pełnie inne oblicze. Była najbardziej zmysłową, wyzwoloną kochanką, jaką kiedykolwiek posiadał. Żadna inna kobieta nigdy w niczym jej nie dorównała. Każdą do niej porównywał; wszystkie wypadały przy niej nudno i blade.

Teraz obserwował ze zmrużonymi oczami, jak włącza czajnik i otwiera szafkę, by wyciągnąć wysłużony, wyszczerbiony kubek do kawy. Niestety nie miał żadnych porcelanowych filiżaneczek.

To tylko kwestia czasu, pomyślał, przypomniawszy sobie wczorajsze zakupy.

Uśmiechnęła się do niego uprzejmie, nieco przepraszająco, jakby się czuła źle, że mu przeszkadza. Zawsze w niej tego nie lubił. Z jednej strony wyniosła, z natury arystokratyczna, a z drugiej do przesady skromna, jakby chciała być niewidzialna... Nagle jednak w jej oczach coś zabłysło. To samo co ujrzał w nich wczoraj, po pocałunku. To co w nocy nie dawało mu spać, katując go podniecającymi wspomnieniami, erotycznymi obrazami.

- Dobrze spałeś?

- Niespecjalnie. Te neony doprowadzają mnie do szału.

- Księżniczka na ziarnku grochu - mruknął sarkastycznie.

- A ty bez problemu potrafisz zasnąć w pokoju oświetlonym niczym dyskoteka?

Gratuluje wrażliwości - odcięła się.

- A może nie mogłaś spać, bo... - Podszedł do niej niczym drapieżny, dziki kot, uśmiechając się złowieszczo. Spłoszona, zrobiła krok do tyłu i wpadła na szafkę. Stał tak blisko niej, że poczuła jego oddech na policzku, ciepło jego ciała, jego przyjemny, męski zapach. - Dobrze wiem, że coś ci nie dawało spokoju, księżniczko. Tak samo jak mnie. Przez ciebie - syknął.

- Masz na myśli... nasz pocałunek?

Nie odpowiedział, jedynie zacisnął i wykrzywił usta.

- Sam kazałeś mi to zrobić.

- Nic ci nie kazałem. Do niczego cię nie zmuszałem.

- To miał być tylko... udawany pocałunek - broniła się drżącym głosem.



- Więc dlaczego nie udawałaś? - natarł ostro. - Musisz się nauczyć udawać, Jianne. Może przećwiczymy to teraz? Pamiętaj, nie wkładaj w to serca. Zero uczuć. Zero emocji. Uwaga...

Poczuła w piersi wzbierającą falę paniki, a jednocześnie pożądania, którego nie mogła opanować; wystarczyła sekunda, jedna iskra, a cała stawała w płomieniach. Zawsze tak reagowała na Jacoba. Zamknęła oczy... Na szczęście z opresji wyratował ją Po, który nagle wszedł do kuchni i zamarł na widok swojego senseia nachylającego się niedwuznacznie do Jianne. Odskoczyli od siebie jak poparzeni, udając, że nic się nie stało. Reszta poranka upłynęła na zaparzaniu i picciu herbaty oraz jedzeniu *congee*. Jianne i Po rozmawiali ze sobą zdawkowo, natomiast Jacob milczał ponuro, nie mogąc się zdecydować, na kogo jest bardziej wściekły: na siebie czy na nią.

Po śniadaniu Jacob odprowadził Jianne do taksówki stojącej przed budynkiem.

- Jak mogłaś pomyśleć, że mieszkanie ze mną pod jednym dachem będzie dobrym pomysłem? - mruknął z cichą furją.

- Przecież się na to zgodziłeś!

- Widocznie miałem zaćmienie umysłu - odburknął.

Jacob kątem oka ujrzał szczupłego mężczyznę w granatowym garniturze, który zbliżał się do nich szybkim krokiem. Czy to jeden z ludzi Zhi Fu? Zerknął na Jianne. Jej mina wskazywała na to, że nie zna tego człowieka.

- Nazywam się Richard Low - przedstawił się mężczyzna. - Szukam pana Jacoba Bennetta.

- Stoi przed panem - rzucił oschle Jacob.

Nieznajomy obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

- Czy jest pan właścicielem tego budynku?

- Owszem.

- Obawiam się, że ma pan problemy z przestrzeganiem przepisów dotyczących bezpieczeństwa w budynkach mieszkalnych.

- Których konkretnie przepisów?

Richard Low uśmiechnął się niesympatycznie i zaczął recytować:

- Brak wystarczających zabezpieczeń przeciwpożarowych, nieobudowane instalacje elektryczne, prawdopodobnie również dach nie spełnia wymogów, tak samo zresztą jak oznakowanie budynku. Zauważono również brak podjazdu dla wózków inwalidzkich.

- Ludzie na wózkach są zapalonymi karatekami - wtrąciła Jianne ironicznie, czując organiczną niechęć do nieznanego.

- Panie Low, czy raczy się pan najpierw wylegitymować? - odezwał się Jacob ostrym tonem. Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni identyfikator w plastikowej kieszulce, na którym widniało czarno na białym, że jest inspektorem nadzoru budowlanego. Dokument wyglądał na autentyczny. - Czy mogę zobaczyć raporty na temat mojego rzekomego nieprzestrzegania przepisów?

- Nie ma takowych. Jeszcze.

- Rozumiem. - Jacob raz jeszcze rzucił okiem na identyfikator. - Proszę na mnie chwilę poczekać. Odprowadzę tylko żonę do taksówki, a potem wspólnie przeprowadzimy dokładną inspekcję budynku i wszystko sobie spokojnie przedyskutujemy. - Uśmiechnął się do obcego niczym wściekły wilk odsłaniający kły. - Pasuje panu?

Twarz mężczyzny wykrzywił grymas niezadowolenia oraz, zgodnie z intencją Jacoba, lekkiego strachu.

- Często nachodzą cię inspektorzy budowlani? - zapytała Jianne, gdy podeszli do taksówki.

- Nigdy - odparł. - Czym się zajmuje twój adorator?

- Buduje drogi. Myślisz, że to on za tym stoi? - przejęła się nagle.

- Możliwe. A może to zemsta kogoś, komu podpadł Po. Istnieje również prawdopodobieństwo, że to nie ma związku z niczym.

Jianne zaczęła nerwowo zagryzać wargę.

- Nie martw się. Jeśli coś w moim dojo wymaga naprawy lub poprawy, zajmę się tym. Nie ma powodu do nerwów.

- Proszę cię, bądź ostrożny, Jacob.

- Och, czyżbyś się o mnie martwiła? - zdziwił się teatralnie. - A już myślałem, że twoim celem jest doprowadzić mnie do obłądu.

- Tylko odrobinę... - rzuciła, wzruszając ramionami.

- Cóż, na razie ci się udaje - oświadczył z uśmiechem, którego nie mógł powstrzymać. - Przyjadę po ciebie o wpół do szóstej.

Kiedy taksówka odjechała, Jacob wszedł tylnym wejściem do dojo, poszedł do swojego gabinetu i wykonał telefon. Po pięciu minutach znowu wyszedł na ulicę do Richarda Lowa, który stał w cieniu, ocierając chusteczką krople potu z czoła.

- A zatem - Jacob uśmiechnął się drapieżnie do mężczyzny - od czego zaczynamy?

Punktualnie o wpół do szóstej zadzwonił Jacob. Czekał na nią na dole. Tym razem Jianne już w windzie wyjęła szpilki z włosów, by uniknąć ekstazy, która jej towarzyszyła, gdy czuła dotyk Jacoba. Wyszła na zatłoczoną ulicę i podbiegła do niego. Na jej widok na jego usta wstąpił lekki uśmiech. Kiedy wręczał jej kask, chwycił ją za rękę. Jego pocałunek był nagły, nieoczekiwany i na szczęście krótki.

- Twoi kuzyni przywieźli dziś do dojo kilka twoich bagaży - mruknął. - Czy mogę zapytać, co w nich jest?

- Mam nadzieję, że ubrania. Większość moich rzeczy nadal znajduje się w Szanghaju. Mam do ciebie małą prośbę. Możemy w drodze do domu wstąpić do sklepu tekstylnego?

- Po co?

- Po zasłony.

- Dziś rano był u nas fachowiec, aby zmierzyć okna. Wstawi nam nowe żaluzje - poinformował ją łagodnym tonem. - Będą gotowe za dwa dni. Do tego czasu zawiesiliśmy dla ciebie prowizoryczne zasłony. Wiem, że odkąd zainstalowali nowy neon na budynku po drugiej stronie ulicy, światło jest bardzo uciążliwe.

Jianne nie kryła zaskoczenia, a po chwili zapytała nieśmiało:

- Czy mogłabym się dołożyć do tych żaluzji? Przecież zamówiłeś je tylko ze względu na moje skargi i utyskiwania.

- Nie - odparł kategorycznie. - Kiedy Zhi Fu wreszcie zrozumie, że nie ma czego u ciebie szukać, żaluzje nadal będą tam wisieć. I to ja będę z nich korzystał. Żyję w taki, a nie inny sposób dlatego, że tak lubię, a nie dlatego, że mnie nie stać na lepszą egzystencję. Jestem w stanie sam pokryć koszty instalacji przeklętych żaluzji - zjeżył się.

- W porządku. - Kolejny raz niechcący uraziła jego dumę. - Mnie też się podoba sposób, w jaki żyjesz. Cenię kogoś, kto wybrał taką drogę życiową jak ty.

Jego twarz złagodniała, lecz oczy posmutniały.

- Ale to nie jest twój świat, Jianne. To nie są luksusy.

- I co z tego? - Nie chciała zaczynać kłótni, którą przerabiali w dawnych czasach tak wiele razy. Kiedy się dowiedział, z jak bogatej rodziny pochodzi Jianne, wpadł w ślepe furie. Odebrał to jako afront. Stracił do niej zaufanie. Jej zdaniem to był początek ich końca. - Wiem, że odnosisz wrażenie, że dla mnie twój świat... nie spełnia moich wymagań. To moja wina. Przyszłam do twojego domu i od razu zaczęłam wprowadzać zmiany. Ty odbierasz to jako zawołowaną krytykę twojego stylu życia. Ale wcale tak nie jest! Po prostu nie mogłam zasnąć. To wszystko. Zrozum, Jacob, te światła wdzierające się przez okna...

- Wiem.

- Nie prosiłam cię o to, żebyś zamówił dla mnie żaluzje, których nawet nie chcesz...

- Chcę - zaprzeczył z ogniem.

- Nie chcesz. To mi przypomina tamtą historię z gosposią, na której zatrudnienie ja należałam, a ty...

- Przestań, Jianne - warknął. - Już dawno nosiłem się z zamiarem zainstalowania nowych żaluzji. Gdybym wiedział, że pozwalając ci zapłacić za nie, uniknąłbym tej dyskusji, bez wahania bym to uczynił. I następnym razem, jeśli takowy się zdarzy, tak właśnie postąpię.

- Naprawdę?

- Naprawdę - burknął. - A jeśli chodzi o gosposię, popełniłem błąd, że nie pozwoliłem ci jej zatrudnić.

- A ja powinnam była poinformować cię przed ślubem o stanie mojego konta - powiedziała niemal bezgłośnie. - Przepraszam.

- Byłaś młoda - bronił jej Jacob.

- I zagubiona - dodała od siebie.

- W naszym domu panował istny chaos.

- To prawda - przyznała. - Wiesz, to wszystko sprawiło, że stałam się lepszą osobą. Wtedy jeszcze nie. Dopiero potem. Kiedy wreszcie zrozumiałam, w czym tkwił problem. I jakie popełniałam błędy.

- Ja miałem tak samo - wyznał nagle.

- A więc - na jej ustach pojawił się łagodny uśmiech - oto my, po latach, tacy sami, choć lepsi. Wreszcie jesteśmy ludźmi, którzy są w stanie przeprowadzić racjonalną rozmowę o tym, kto zapłaci za żaluzje.

- Jianne?

- Tak?

- Ta rozmowa wcale nie była racjonalna. - Uśmiechnął się sarkastycznie. - Wskakuj. Jedziemy.

Tego dnia na kolację zamówili jedzenie hinduskie: kurczaka tandoori, placki roti i raitę. Zjedli w malutkiej kuchni, przy otwartych drzwiach, przez które wlatywała nocna bryza rozwiewająca wieczorny, gęsty jak zupa upał. Jianne jadła w milczeniu, przysłuchując się rozmowom Jacoba i Po. Chłopiec zapytał, dlaczego we wczorajszych zawodach podczas jednej z walk nie wygrał ten zawodnik, który posiadał lepszą od przeciwnika technikę.

- To świetny uczeń, jeden z moich najlepszych - zaczął Jacob - ale on nigdy się nie dowiedział, czym jest głód, brak dachu nad głową, brak bliskich. Nigdy nie musiał walczyć o przeżycie na ulicy. A wczoraj stanął do pojedynku z człowiekiem, dla którego takie doświadczenia kiedyś były chlebem powszednim. Głód, bieda, strach, krew. I dlatego z nim przegrał.

- Czy pan też doświadczył na własnej skórze tych rzeczy? - zapytał Po. - I dlatego pan zawsze wygrywa?

- Nie. Wiem jednak dobrze, czym jest cierpienie, które człowiek czuje po stracie czegoś... lub kogoś. I znam strach przed tym, że nie uda mi się ochronić osób, nad którymi sprawuję opiekę. Kiedyś poznałem gniew tak głęboki i potężny, że o mały włos mnie nie pochłoniął. Chyba nadal to wszystko we mnie tkwi i czasem usiłuje wydostać się na powierzchnię. Podczas walki niektóre z tych silnych emocji mnie napędzają. I dlatego wygrywam.

- Przeżyłem to wszystko, o czym sensei wspomniał - rzekł ponuro Po, bez krzty dumy w głosie. Wyznanie chłopca szarpnęło Jianne za serce. Nie była w stanie nawet sobie wyobrazić, jak upiorny los zgotowało mu życie.

- W takim razie śmiem twierdzić, że tkwi w tobie potencjał na wielkiego wojownika - ocenił Jacob. - Lub świętego obrońcę praw człowieka, jeśli nadal jest to twój wymarzony zawód.

Po skinął głową, a jego oczy zabłysły. Jianne domyślała się, że pozytywne słowa Jacoba znaczyły dla tego chłopca więcej niż cokolwiek innego na świecie.

- Pan Chin prosił, abym pomógł mu dzisiaj w restauracji - oświadczył po chwili chłopiec. - Jego bratanek zachorował, więc zgodziłem się popracować w jego zastępstwie.

- Bardzo dobrze - pochwalił go Jacob. - Kiedy będziesz wracał do domu, rozglądaj się dokładnie na wszystkie strony. Szukaj podejrzanych typów, którzy kręcą się przy do-jo lub zagląдают w okna Jianne.

Kiedy chłopiec wyszedł, Jianne włożyła wszystkie miski do zlewu, wytarła ręce i powiedziała do Jacoba:

- To, co mu powiedziałeś... i w jaki sposób okazałeś mu akceptację i wsparcie... to było wspaniałe - rzekła, kryjąc wzruszenie.

- To dobry chłopak. Życie dało mu nieźle w kość. A ja... prawdę mówiąc, nie wiem, co robić - wyznał niespodziewanie. - Nie mam pojęcia, czy mu pomagam. Chyba jestem już za stary na opiekuna. - Westchnął i potarł dłonią usta. - Boże, napiłbym się szkockiej.

Jianne stanęła na palcach, by wyjąć butelkę z szafki, gdy raptem poczuła za sobą potężne ciało Jacoba. Czowała emanujące z niego ciepło oraz dziwne napięcie, od którego powietrze zdawało się wibrować. Nalała hojnie trunku do szklanki i wręczyła mu Ją. Jednym haustem wypił całą zawartość.

- Lepiej?

- Może. - Chwycił butelkę. - Ty też się napijesz?

Zatapiając spojrzenie w jego mrocznych oczach, nie zastanawiała się długo.

- Tak. Poproszę.

Nalał whisky do tej samej szklanki, z której sam pił.

- A może życzysz sobie innej szklanki, księżniczko? - zapytał z lekką drwiną.

Bez słowa wzięła od niego szklankę i przytknęła usta do miejsca, które chwilę temu Jacob dotknął wargami. Wypiła duszkiem.

- Lepiej? - zapytał.

- Tak, dziękuję.

- Widzisz, przez te dwanaście lat nauczyłem się dobrych manier. - Po chwili dodał poważnym głosem: - I nauczyłem się myśleć o twoich potrzebach.

Uśmiechnęła się nieco zakłopotana. Poczwała, jak jej ciało oblewa fala ciepła, którego źródłem był nie tylko alkohol.

- Jak się skończyła ta historia z inspektorem budowlanym? - zapytała, by zmienić temat i wprowadzić lżejszą, mniej intymną atmosferę.

- Ma mi przysłać raport. Nie ma się czym przejmować. - Utkwił wzrok w jej ustach. Poczwała w nich mrowienie. - To znaczy, mam na myśli optymistyczny scenariusz, w którym twój adorator wreszcie zostawia cię w spokoju, Po wychodzi na ludzi, a ja odzyskuję spokój umysłu. A to chyba nie są wygórowane życzenia? - Błękit jego oczu pociemniał. - Czy moje łóżko jest wygodne? - zapytał nagle gorączkowym szeptem. Na chwilę zaniemówiła.

- T-tak... Bardzo.

- O czym myślisz, leżąc w nim bezsennie?

Jej twarz oblał szkarłatny rumieniec. Spuściła głowę, by go ukryć. Bezskutecznie.

- Nie wyciągniesz ze mnie takich informacji - mruknęła.

- Więcej szkockiej?

- Nie, dziękuję. Nie ułatwię ci przesłuchania w tak żaloszny sposób - odparła buńczucznie, unosząc wzrok. Na jego ustach pojawił się powolny, zniewalający uśmiech. Jianne zacisnęła kurczowo dłoń na szklance, tak mocno, aż się przestraszyła, że naczynie pęknie.

- Czy myślisz... o mnie? - Nachylił się ku niej. Czwała na policzku jego oddech. - Czy myślisz o tym, jak wyglądały kiedyś nasze wspólne, intymne, namiętne chwile? -

zapytał, wypowiadając każdy z tych przymiotników najbardziej zmysłowym głosem, jaki mógł z siebie wydobyć.

Jianne przeszedł dreszcz, a potem potrząsnęła energicznie głową, zaprzeczając prawdzie. Jacob uśmiechnął się do niej niczym krwiożerczy drapieżnik, który pastwi się nad swoją ofiarą.

- Kłamiesz.

Zamknęła oczy. Wiedziała, że wszystko zależy od niej. Jacob jej nie tknie bez jej przyzwolenia. To była decydująca chwila. W tej akurat sprawie jednak Jianne nie była rozdarta, nie miała żadnych dylematów. Decyzję podjęła już dawno temu.

- Udowodnij mi, że kłamię - wyszeptała, spoglądając wyzywająco w jego przymrużone oczy.

- Nie mogę. - Ustami musnął jej policzek, po czym ugryzł jej dolną, pełną wargę. - Powiedz prawdę. Czy myślisz o mnie?

- A ty o mnie? - odparowała drżącym głosem.

- Tak.

Pocałował delikatnie jej wargę, w której przed chwilą zatopił zęby. Jianne położyła dłoń na jego policzku, rozluźniła usta i przestała stawiać opór.

Ponieważ tego właśnie pragnęła, nie udając przed samą sobą, że jest inaczej. Pragnęła tego mężczyzny... swojego męża... swojego marzenia.

Jacob całował ją jak ktoś, kogo od dawna zżerał głód, trawiła tęsknota, nękał żal. Wszystkie te emocje nagle wybuchły w jego piersi. Zamknięte w jego sercu zranione, zrozpaczone zwierzę wydostało się na wolność. Nie chciał nikogo zabić ani skrzywdzić. Pragnął jedynie kogoś posiąść. Kogoś, kogo kiedyś stracił. Nie wiedział, jak to wszystko się skończy. I w tej chwili nic go to nie obchodziło. Pragnął jedynie zaspokoić swoją pierwotną potrzebę, która nie miała na imię „seks”, tylko „Jianne”.

Ona nie pozostała obojętna. Nigdy w takich momentach nie była bierna. Była mu równa - tak samo podniecona, tak samo wyzbyta wszelkich hamulców. Całowała go zachłannie, gorączkowo, rokoszując się słodyczą jego ust, którą tak dobrze kiedyś знаła, za którą czasem tak niehumanie tęskniła. Położył ręce na jej biodrach, przyciągnął ją do siebie. Jianne jęknęła głośno, czując potęgę jego pożądania. Wczepiła palce w jego gęste



włosy, jakby się bała, że zaraz upadnie, zemdleje, rozplynie się na podłodze jak kałuża czystej rozkoszy.

- Tak, myślałam o tobie - wyszeptała bez tchu. - I mam już tego dość.

- A czego chcesz?

- Ciebie.

Dała temu wyraz, rozpinając jego pasek, a potem rozporek. Oplotła ramionami jego szyję, podczas gdy on jednym ruchem uniósł jej spódniczkę i uczynił to, co było nieuniknione. Ich ciała się zespoliły. Z jej ust uleciał jęk rozkoszy, a z jego ciężkie, chrapliwe westchnienie.

Raptem cofnął się i spojrzał na nią płonącymi oczami.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę - poprosił ją, lecz swoje słowa równie dobrze mógłby skierować do siebie samego.

Czuł bowiem, że znowu traci nad sobą panowanie. Pożądanie, które wzbudzała w nim Jianne, było żywiołem nie do powstrzymania, nawet przez mistrza świata w karate, które jest przecież misterną sztuką koncentracji i kontroli.

Porwał ją w ramiona, zaniósł po schodach na górę, lecz nie dotarł do łóżka. Ułożył ją delikatnie na drewnianej podłodze. Paznokcie Jianne wpijały się w jego plecy, pozostawiając na jego skórze małe czerwone półksiężyce. Czuł, że jej pożądanie jest wiernym odbiciem tego, co w nim pulsuje i płonie. Dlatego ich wspólne chwile były takie wyjątkowe; od żadnej innej kobiety nie otrzymał tego, co od swojej żony. Na pozór spokojna i opanowana, lecz w głębi duszy dzika i frywolna. Właśnie tę niezwykłą cechę tak w niej uwielbiał.

To, co się stało, było gwałtowne, intensywne i gorączkowe. Wielkie mieszkanie wypełniły odgłosy najwyższej rozkoszy. Ich nagie, splecione ciała po tylu latach z taką łatwością i tak naturalnie znowu stały się jednością.

W tej samej sekundzie znaleźli się w tym nierealnym miejscu poza światem i czasem, z którego kochankowie wracać nigdy nie chcą, lecz muszą...

Nie pamiętała, kiedy zaniósł ją do swojego łóżka. Kiedy ekstaza już się skończyła, jej umysł nadal odmawiał posłuszeństwa, była oszołomiona, ledwie przytomna. Miała wrażenie, że znalazła się poza swoim ciałem. Ocucił ją dopiero jego głęboki, czuły poca-

łunek, po którym do oczu napłynęły jej gorące łzy. Przymknęła powieki, by nie spłynęły jej po policzkach. Nie chciała, by je widział, by się dowiedział, jak jest teraz krucha, obnażona i choćby przez kilka chwil szczęśliwa.

Przez długi czas z ich ust nie wydobyło się ani jedno słowo. Bali się zepsuć tę chwilę, ponieważ zdawali sobie sprawę, że każde zdanie byłoby trywialne. Każde, prócz wzniosłych, płynących z głębi serca deklaracji, które ani jej, ani jemu nie przeszłyby przez gardło. Jianne otworzyła oczy i ujrzała czerwone znamiona na jego ciele, pamiątki po ich namiętym zbliżeniu. Pogłaskała jedną z jego małych ranek, czując lekkie wyrzuty sumienia.

- Przepraszam...

Położył palec na jej ustach.

- Ciii. - Spojrzał w jej wielkie, nadal zamglone oczy i przytulił ją jeszcze mocniej. - To zaszczyt być przez ciebie oznakowanym.

- Znowu cię potrzebuję - wyszeptała nagle, trochę wbrew sobie.

Nie odpowiedział. Delikatnie i z uczuciem głaskał ją po głowie i gładził po całym ciele tak długo, aż spłynął na nią błogi, słodki sen.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy się obudziła, pokój spowijał mrok. Grube zasłony nie przepuszczały światła księżyca ani blasku neonów. Gdy oczy Jianne przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła, że ani w łóżku, ani pod prysznicem nie ma Jacoba. Spojrzała na budzik stojący na podłodze. Dziesięć po trzeciej nad ranem.

Pomyślała, że może zszedł na chwilę na dół, by sprawdzić, czy Po jest już w dojo.

Czekała na niego, leżąc otulona kołdrą, ciemnością i smutkiem, lecz on nie wracał. Chociaż nadal czuła jego zapach na swojej skórze i na prześcieradle, jego nieobecność była niczym wirująca, z każdą minutą rosnąca czarna dziura. Kurczowo trzymała się nadziei, że Jacob przyjdzie do niej tuż przed świtem, przed rozpoczęciem pierwszego treningu. Powie jej kilka prostych słów, przytuli, może nawet przeprosi. O wpół do szóstej, kiedy usłyszała, że do dojo zaczynają się schodzić pierwsi uczniowie, porzuciła tę naiwną nadzieję. Zwlokła się z łóżka i udała pod prysznic.

Kilka minut po szóstej zeszła na dół. Uczniowie znowu na jej widok zamarli z głupimi minami. Na pewno nie prowokowała ich do tego zbyt wyzywającym strojem, ubrana bowiem była w prostą spódnicę do kolan, obcisłą bluzeczkę na ramiączkach oraz wysokie buty. Omiotła całą grupkę lekko ironicznym wzrokiem, odpowiadając na ich natarczywe spojrzenia. Może Jacob powinien wreszcie wytłumaczyć tym zapalonym karatekom, że na świecie istnieją nie tylko mężczyźni, ale też druga, lepsza płeć? - pomyślała nieco poirytowana.

Jeden z młodszych uczniów uklonił jej się i uśmiechnął. Usta Jianne również lekko drgnęły. Jacob, wyłoniwszy się z rogu sali, natychmiast kazał chłopakowi za karę zrobić serię pompek, a potem posłał Jianne gromiące spojrzenie. Wzruszyła nonszalancko ramiionami i przemaszerowała do kuchni. Przecież to on nalegał, abym zamieszkała w jego mieszkaniu, a nie w kwaterach z tyłu budynku, powiedziała sobie w myślach.

Tego ranka nie miała najmniejszej ochoty ułatwiać mu życia.

Przy kuchennym stole siedział Po, łącząc odrabianie lekcji z konsumpcją śniadania. Nagle, zdumiona własnym odruchem, nachyliła się i pocałowała chłopca w czoło. Nie wiadomo, kogo wprowadził w większą konsternację ten gest, ją czy jego? Chłopiec zrobił się

cały czerwony na twarzy, aż po uszy, Jianne natomiast odwróciła się błyskawicznie i zabrała do lodówki, która jak zwykle była fatalnie zaopatrzona. Pojemniki z jedzeniem na wynos, woda, piwo, masło orzechowe, jajka. Wzięła pojedynczą, nie najświeższą pomarańczę i zaparzyła herbatę dla siebie i chłopca.

- O której godzinie wróciłeś do domu? - zapytała z ciekawości.

- Przed pierwszą - odparł Po, nadal wyraźnie zdeprimowany i zarumieniony. - Nie widziałem, by ktoś podejrzany kręcił się koło dojo.

Pomyślała, że to skandal, żeby tak młody chłopiec musiał pracować do tak późna i wracać sam po nocy. Trzeba coś z tym zrobić. Czy ma jednak prawo ingerować w jego życie?

- Dziękuję za wypełnione zadanie - powiedziała ze smutnym uśmiechem.

- Kto panią prześladowuje?

- Pewien mężczyzna. Bardzo bogaty i bardzo uparty.

- Czy dlatego, że coś mu pani ukradła?

- Nie. Po prostu wpadłam mu w oko. I najwyraźniej nie chcę wypaść. To taki... niechciany adorator.

- Adorator? Nie rozumiem. Czy może pani powtórzyć po chińsku?

Spełniła jego życzenie, rozbudowując swą odpowiedź:

- On chce, abym została jego żoną. Jego rodzina, tak samo jak moja, jest bardzo bogata i wpływowa. Uważa więc, że nasz związek byłby bardzo rozsądny i intratny.

- Intratny?

- Intratny, czyli dobry dla jego interesów - wyjaśniła, znowu przerzucając się na język angielski.

- Ale nie dla pani?

- Nie dla mnie. Nie kocham go. Nawet go nie lubię.

- Czyli uciekła pani i schowała się tutaj, u senseia Jacoba?

Przytaknęła.

- Ilu nowych angielskich słówek nauczyłeś się podczas naszej pogawędki? - zapytała z uśmiechem.

- Dwóch. - Po chwili chłopiec dodał: - Sensei twierdzi, że mam chłonny mózg. Szybko się uczę.

- Podzielim jego zdanie.

Nagle usłyszała niski głos Jacoba:

- Czyje zdanie?

W ramach zemsty za samotną noc postanowiła nie uraczyć go nawet przelotnym spojrzeniem.

- Twoje. Na temat zdolności Po. Skończyłeś już zajęcia?

- Nie. Ale uważam, że dziś powinnaś wcześniej wyjść do pracy - rzekł protekcjonalnym tonem. - Po, pójdz przypilnuj uczniów. Zaraz wrócę na salę.

Chłopiec wybiegł z kuchni, przejęty swoim nowym zadaniem. Jianne nie potrafiła opanować swojego odruchu i zerknęła na Jacoba. Nasunęło jej się skojarzenie z burzową chmurą, która zaraz zacznie strzelać piorunami.

- Przyrzekłem sobie, że będę cię chronił, a nie wykorzystywał - wycedził przez zęby.

- Jakże to szlachetnie z twojej strony - odparła z przekąsem. - A czy nie przyszło ci do głowy, że to ja chciałam wykorzystać ciebie?

- Nie przyszło. - Pokręcił głową. - Mało prawdopodobne.

- Nie doceniasz mnie. W każdym razie nie musisz się katować wyrzutami sumienia, jeśli takowe ci dręczą.

Omiótł wzrokiem całą jej postać. Poczowała jego badawcze spojrzenie na swoich nagich nogach, ramionach i ustach.

- Czy... zrobiłem ci krzywdę?

Pod prysznicem doliczyła się kilku małych siniaków na ciele. Nie miała mu tego za złe. To, że ich zbliżenie było tak dzikie i gwałtowne, było również jej zasługą.

- Chyba złamałam paznokiec - oznajmiła beznamiętnie.

Na ustach Jacoba rozkwitł nagle szeroki, rozbrajający uśmiech, który dotarł aż do jego oczu.

- Przyjedziesz dziś po mnie po pracy?

- Tak, ale trochę wcześniej. Za kwadrans szósta mam zajęcia. Bądź gotowa o piątej. - Po chwili namysłu zasugerował: - Powinniśmy dziś wieczorem gdzieś wyjść. Gdzieś, gdzie zobaczy nas wielu ludzi. Na kolację lub...

- To się świetnie składa - przerwała mu. - Mój wujek zaprosił mnie na bal charytatywny. Duża, elegancka impreza. Wśród obecnych być może będzie Zhi. Co ty na to?

- W porządku - odparł lakonicznie.

- No to... w porządku. - Poczula, że ich rozmowa dobiegła końca. Nic więcej ważnego sobie teraz nie powiedzą. - Zatem do zobaczenia o piątej, tak?

Przytaknął.

- Nie pocałuję cię na „do widzenia” - dorzuciła, nadal na niego obrażona.

- Mądra decyzja - mruknął.

Spojrzała na niego. Nie, to jest silniejsze niż wszystko inne, pomyślała z rezygnacją, ale i z ekscytacją. Sam jego widok rozbudzał jej zmysły. Poczula znowu ten drapieżny głód, z którym walka byłaby zupełnie daremna. Lepiej się poddać. Nakarmić pragnienie. Może wtedy osłabnie?

- A czy będę mogła cię pocałować na dobranoc?

- To zależy - mruknął.

- Od czego?

- Od tego, czy będziesz miała ochotę na sen, czy... coś innego.

Sen jest przereklamowany, pomyślała Jianne wiele godzin później, szykując się na bal. Na ten wieczór wybrała swoją ulubioną, już całkiem wiekową, krwistoczerwoną suknię do samej ziemi. Zrobiła to z sentymentu, jak również z wygody - kreacja nie wymagała prasowania, co było jej na rękę w tych spartańskich warunkach. Włosy poprawiła w dosłownie pięć minut, a następnie przyozdobiła je perłami. Problemem okazało się nałożenie makijażu - Jacob ewidentnie używał swojego lusterka jedynie do golenia; było wielkości książki, na dodatek porysowane i poplamione. Co gorsza, było to jedyne lustro w całym budynku. Jianne wykonała szybki telefon do Madeline. Po dziesięciu minutach zjawił się Luke, dzierżąc pod pachą ogromne lustro ściennie, a w dłoni ściskając coś, co wyglądało na reflektor samochodowy. Zawiesił lustro na ścianie, a wielką lampę podłą-

czył do kontaktu, by rześnistym światłem oświetlała osobę, która stała przed zwierciadłem.

- Jesteś bardzo miły - powiedziała, szczerze mu wdzięczna za tę ekspresową interwencję. - Niech niebiosy wynagrodzą ci twoją dobroć pięciorgiem dzieci. Samymi dziewczynkami.

- Nie napędzisz mi stracha i nie zrazisz do... wiadomo czego - zaśmiał się Luke. - Maddy pomyślała, że na ten wieczór przyda się wam też jakieś fajne autko. Jest czarne, eleganckie, stoi na parkingu pod restauracją starego pana China. Ciekaw jestem, które z was dorwie się do kierownicy: ty czy mój braciszek?

- Nie mam jeszcze singapurskiego prawa jazdy.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie - rzekł zawiedziony. - Ani odrobiny.

- A może jednak odrobina istnieje? - powiedziała słodko, klepiąc go po ramieniu. - Może przekonasz się o tym, kiedy twoje szóste dziecko okaże się chłopcem...

Luke zaśmiał się głośno i pogroził jej palcem.

- Lecę poszukać Jacoba. Trzymaj się!

Korzystając z nowego lustra, Jianne w niespełna kwadrans nałożyła na twarz idealny makijaż, po czym posiedziała dłużej nad wyborem biżuterii. Wreszcie założyła na szyję starą obróżkę po babci, wysadzaną diamentami i rubinami. Najgorszy okazał się dylemat: czy powinna założyć pierścionek zaręczynowy i obrączkę? Nie były przesadnie efektowne, lecz i tak piękne - malutki diamencik zatopiony w platynowym, falowanym pierścionku, oraz dopasowana stylem obrączka. Obrączka Jacoba wyglądała tak samo, tyle że była dwukrotnie szersza. Jianne od razu zauważyła, że nie nosi jej na palcu. Nie nosił żadnej biżuterii, nawet zegarka.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech, otworzyła drzwi i zawołała Po. Chłopiec zjawił się pod jej drzwiami w przeciągu kilku sekund. Jak on to robi? - zastanawiała się za każdym razem.

- Potrzebuję twojej pomocy - oświadczyła i dokładnie mu wytłumaczyła, na czym polega jego tajna misja.

Wbijanie się w elegancki czarny smoking, aby potem zaszczycić swą posępną obecnością bal charytatywny, na którym będzie się roić od bogatych ważniaków, nie by-

ło dla Jacoba wymarzoną rozrywką. Humor poprawiała mu jedynie perspektywa konfrontacji z agresywnym adoratorem Jianne. Na myśl o tym spotkaniu czuł, jak w jego żyłach zaczyna krążyć adrenalina. Od Luke'a dowiedział się co nieco o wujku i cioci swojej żony. Podobno jej pochodząca z Szanghaju ciocia ma autentycznie arystokratyczny rodowód, a wujek Jianne jest w Singapurze postacią tak znaną i wpływową, że wkrótce dzieci będą się o nim uczyć w szkole. Małżeństwo Bruce'a i Eleny Yi było z początku tylko biznesowym układem, zawartym przez ich rodziców, lecz z czasem przerodziło się we wzajemną miłość. Madeline twierdziła, że państwo Yi oraz ich otoczenie to absolutne *crème de la crème* singapurskiej socjety.

- Mam wrażenie, jakbym się wybierał na ucztę wśród bogów Olimpu - zażartował Jacob bez humoru.

- Spójrz na to z innej strony - poradził mu Luke. - Państwo Yi chcą po prostu uwolnić wreszcie Jianne od tego psychopaty. A ty narzekasz, że przy okazji zjesz sobie stek za dziesięć tysięcy dolarów...

- Dziesięć tysięcy? - zdumiał się starszy z Bennettów. - Żartujesz czy mówisz prawdę?

- Zawsze samą prawdę. Ciekawe, czy będzie sto razy smaczniejszy niż normalny stek - deliberował na głos Luke.

Jacob zaklął pod nosem i zaczął rozpinąć swoją białą koszulę. Była zbyt pospolita jak na tak absurdalnie luksusową imprezę.

- Gdzie jest Po?

- Tutaj - rzekł chłopiec, który nagle zmaterializował się w drzwiach.

- Przynieś mi białą koszulę, która wisi na górze w szafie. Na półce znajdziesz pudełko po butach pełne starych zegarków i innych tego typu rzeczy. Znajdź parę jadeitowych spinek do mankietów. - To był prezent od Jianne w dniu ich ślubu. Bał się myśleć, ile mogły kosztować te cacka. Już wtedy mógł się domyślić, że nie jest zwykłą przeciętnie sytuowaną dziewczyną.

- Czegoś jeszcze pan sobie życzy? - zapytał Po. - To znaczy, z tego pudełka.

- Na przykład co?

- N-nie wiem... Na przykład zegarek lub coś innego na rękę - wyjąkał chłopiec.



- Nie, nie trzeba. - Nie posiadał wystarczająco eleganckiego zegarka.

- A może jednak... coś jeszcze? - nalegał chłopiec.

- Tylko spinki.

- Bo... mógłbym przynieść panu całe pudełko - zaproponował Po.

- Spinki i koszula. To wszystko. Biegiem - rzucił z lekką irytacją.

Po w mgnieniu oka zniknął za drzwiami. Ten chłopiec porusza się tak błyskawicznie i bezszelestnie, że najwięksi mistrzowie sztuk walki mogliby zzielenieć z zazdrości. Kiedy Po dorośnie i nabierze siły ma szansę stać się niezrównanym wojownikiem - pomyślał Jacob.

- O co chodziło małemu z tym pudłem? - zdziwił się Luke.

Jacob wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Po piorunem wbiegł po schodach, by zdać raport Jianne:

- Sensei potrzebuje tylko innej koszuli i jakichś spinek do mankietów. - Spuścił głowę ze smutkiem. - Nie wspominał o żadnych pierścionkach.

- Dzięki, Po. - Jianne starała się ukryć rozczarowanie, które ścisnęło jej serce. - Misja wykonana. Tylko tego chciałam się dowiedzieć.

Pół godziny później Luke, Po i Jacob czekali w sali treningowej, aż Jianne zejdzie ze schodów, by udać się na bal.

- O, rany... - jęknął nagle Luke, zadzierając głowę. - Masz przechlapane, braciszku.

Jacob skierował swe spojrzenie na żonę i poczuł jak krew uderza mu do głowy, a serce zaczyna łomotać ogłuszająco.

- Biegnijcie po samochód - rzucił dopiero po kilku chwilach do brata i Po, którzy tego wieczoru pełnili funkcję ich szoferów.

- Jianne, wyglądasz nieziemsko - zachwycił się młodszy Bennett, wodząc za nią mętным wzrokiem.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Jianne.

- Idę z Po po auto, ale chciałem tylko raz jeszcze podkreślić, jak przepięknie, bajecznie...

- Biegnijcie. Po. Auto! - warknął Jacob rozkazującym tonem, nie odrywając wzroku od Jianne, która spływała delikatnie po schodach, dystyngowana i olśniewająca jak prawdziwa księżniczka.

Jianne nie miała nic przeciwko motocyklom, wprost przeciwnie, uważała, że jest w nich coś romantycznego. Wiedziała jednak, że na szalenie wystawny bal nie wypada przyjechać ryczącą maszyną. Była więc wdzięczna Madeline, że zorganizowała jej limuzynę.

Siedziała na tylnym siedzeniu obok Jacoba, który był uosobieniem męskiej elegancji, przyprawiającym ją o szybsze bicie serca i suchość w ustach. Roztaczał wokół siebie aurę dominacji oraz siły, spotęgowane dzisiejszym napięciem: wiedziała, że jego celem jest spotkać, poznać i zniechęcić do niej Zhi Fu. Urodzony wojownik. To właśnie ten unikalny pierwiastek czegoś pierwotnego i mrocznego stanowił o jego magnetycznym uroku. Był jedynym mężczyzną, u boku którego Jianne chciała być tego wieczoru. I każdego innego...

Kiedy zatrzymali się przed hotelem i wysiedli z auta, natychmiast oślepił ich blask fleszy grupki paparazzich, których kłębili się przy wejściu. Jianne miała cichą nadzieję, że ich wspólne zdjęcie ukaże się w prasie, a Zhi Fu nie omieszką go zobaczyć.

Wkroczyli do ogromnej sali balowej hotelu Raffles.

- Jak sądzisz, ile na tej sali znajduje się osób, które znasz? - szepnął jej do ucha Jacob.

- Pomijając siebie, moją ciocię, wujka i kuzynów? Prawdopodobnie ani jedna - odparła pogodnie. Nie gustowała w powierzchownych znajomościach, a tu, w Singapurze, nie miała czasu jeszcze nikogo poznać.

- Chyba że na sali jest Zhi Fu - przypomniał jej niskim głosem.

Jianne natychmiast wzdrygnęła się na samą myśl.

- Bądź ostrożny, kiedy go spotkamy, dobrze? Nie chcesz mieć wroga w takim człowieku...

- Za późno. On chce ciebie. A ty jesteś moja - zadeklarował nagle.

Jianne zdumiała się, lecz nie chciała w tym momencie o tym dyskutować.

- Jak widzisz, nie możemy zostać najlepszymi kumplami.

- Wiem, ale nie...

- Nie zabij go? To chciałaś powiedzieć? - Zaśmiał się pod nosem. - Bez obaw. Potrafię nad sobą panować.

- Polemizowałabym. Ubiegłej nocy...

Zgromił ją wzrokiem. Zamilkła. Jacob omiótł spojrzeniem tłum gości.

- Widzisz go?

- Nie - odparła, choć nie pofatygowała się nawet dokładnie przyjrzeć obecnym. - Widzę tylko mojego wujka i ciocię. I jednego z moich kuzynów. Siedzą tam, z przodu. To musi być nasz stolik.

Jacob westchnął. Miał nadzieję, że będzie dużo jedzenia, bo miał przeczucie, że konwersacje przy stole będą niezwykle problematyczne.

Mylił się.

Elena Yi okazała się serdeczną i ciepłą damą, jej synowie byli kulturalni i uprzejmi, natomiast miliarder Bruce Yi był człowiekiem, którego Jacob przy bliższym poznaniu zapewne obdarzyłby zaufaniem i szacunkiem. Ten wielki świat nie był jego światem, czuł się w nim obco i nieswojo, lecz doszedł do wniosku, że raz na jakiś czas zakochany mężczyzna może przecierpieć tego typu imprezy, by utrzymać przy swym boku kobietę, którą kocha.

- Jianne wygląda dziś wprost olśniewająco, nieprawdaż? - zapytał wujek Bruce, posyłając siostrzenicy czuły uśmiech. - Widzę, że nowe otoczenie jej służy.

Jianne odwzajemniła uśmiech, lecz nie zdążyła odpowiedzieć. Nagle dostrzegła bowiem grymas na twarzy wujka, który wpatrywał się w kogoś w tłumie. Zrobił krok do tyłu, by poszerzyć krąg, w którym stali. Za chwilę dołączył do nich wysoki, postawny mężczyzna, zadbany i nieskazitelnie ubrany. Jego oczy były twarde jak agaty.

Jianne przywołała na usta uprzejmy uśmiech i położyła dłoń na ramieniu Jacoba. Starła się z całych sił nie dać po sobie poznać, że się boi.

- Witaj, Zhi Fu - odezwała się przytłumionym głosem. - Świat jest taki mały...

- Owszem. - Twarz mężczyzny wykrzywił uśmiech. Jacob doszedł do wniosku, że jest w nim coś oślizłego, gadziego. - Szalenie podoba mi się w Singapurze. A tobie?

- Również.

- Jacob, oto Sun Zhi Fu - odezwał się wujek Jianne. - Przemysłowiec z Szanghaju, dobry znajomy oraz nasz nowy sąsiad. - Jacob zauważył, że wujek użył słowa „znajomy”, a nie „przyjaciel”. Przyklasnął w duchu Bruce'owi Yi, który wiedział, jak wbić szpiłę adoratorowi Jianne, zachowując przy tym nienaganne maniery. - Sun Zhi Fu, oto Jacob Bennett, mistrz świata w karate oraz nauczyciel. Jacob ma tu w Szanghaju własne dojo. Rzecz jasna, jak zapewne wiesz, jest on również mężem mojej siostrzenicy.

Obaj mężczyźni nie podali sobie dłoni.

- Trapi mnie pewna kwestia - odezwał się Zhi Fu miękkim głosem, lekko seplenając. - Jakim trzeba być mężem, aby zostawić swą żonę na tuzin lat, a mimo to nie dać jej upragnionego rozwodu? Na pewno nie kochającym...

- Małżeństwo, cóż za przedziwna materia - westchnął Jacob teatralnie. - Człowiek sobie myśli, że to już koniec, a tu nagle wszystko się zmienia i okazuje się, że uczucie między małżonkami wybucha ze zdwojoną siłą. Czy planuje pan pozostać w Singapurze?

- Moje plany są w tej chwili... płynne. Są uzależnione od tego, jaki kształt przybiorze kilka bieżących spraw. - Przeniósł wzrok na Jianne. - Dlaczego nie odpowiedziałaś na zaproszenie na przyjęcie, które organizuję?

- Obawiam się, że mamy inne plany - odparła chłodno.

- W takim razie zobaczymy się przy następnej okazji - powiedział mężczyzna. - Zapewne niebawem się nadarzy.

- Nie - odparła Jianne, zaciskając palce na barku męża. - To chyba nie będzie miało miejsca.

Jacob zdjął rękę Jianne tylko po to, by samemu położyć dłoń na jej nagim ramieniu. Powoli, lecz pewnie, tak by nikt nie miał wątpliwości, że Jianne jest jego własnością. Dla lepszego efektu kciukiem pogładził ją za uchem, w jej wyjątkowo wrażliwe miejsce. Oczy Jianne nagle zaszły mgłą, a usta się rozchyliły. Wiedziała, że muszą odegrać tę scenę najlepiej, jak potrafią.

Kiedy Jacob znowu spojrzał na Zhi Fu, w oczach natrętnego adoratora ujrzał furję w czystej postaci. Gdyby ćwiczył karate, byłby niezwykle groźnym przeciwnikiem. Takim, który wyznaje zasadę „wszystkie chwytty dozwolone”. Który na pojedynek na gołe

pięści stawiłby się z karabinem maszynowym. Podstępny, chory, groźny typ ocenił Jacob.

- Żegnam, panie Sun - rzucił Jacob uprzejmym tonem.

Zhi Fu uśmiechnął się lodowato.

- Nie bądźmy tacy kategoryczni, panie Bennett. Rzadko używam słowa „żegnam”, chyba że w stosunku do osób, które wiem, że niedługo zakończą swój żywot.

- Zapamiętam to sobie - odparł Jacob.

Spojrzenie Zhi Fu zahaczyło na sekundę o Jianne. Zacisnął usta, a po chwili odezwał się do niej w jakimś chińskim dialekcie, którego Jacob nie rozumiał. Skinął głową Bruce'owi Yi i odszedł.

Jianne patrzyła, jak Zhi Fu odchodzi i znika między innymi gośćmi. Jego ostatnie słowa sprawiły, że przeszedł ją dreszcz.

- Co powiedział na pożegnanie? - chciał się dowiedzieć Jacob.

- Zapytał, czy chcę twojej śmierci - odparła głosem brzmiącym jak echo. Dłoń Jacoba, która gładziła jej szyję, zamarła. - Jacob, przepraszam, że cię w to wszystko wciągnęłam. Wiedziałam, jakim on jest człowiekiem. Wiem, że kiedy opęta go jakaś obsesja, tak jak ta, by mnie zdobyć, staje się niebezpieczny i nieprzewidywalny. Nigdy jednak nie sądziłam, że posunie się tak daleko, by zagrażać twojemu życiu! - zawołała z rozpaczą. - Proszę, uwierz mi. I wybacz...

- Już dobrze, Jianne. - Znowu zaczął gładzić ją za uchem. - On tylko chce, byś ode mnie odeszła. Ludzi się, że odejdiesz ode mnie powodowana strachem o moje życie. Rzecz jasna, zlekceważysz jego pogrózkę.

- Ale...

- Nic nie mów - rozkazał łagodnie. - Brałem taką ewentualność pod uwagę.

Nagle wezbrał w niej cichy szloch, którego nie mogła opanować.

- Muszę usiąść - wydukała, zakrywając twarz.

Jacob wraz z wujkiem zaprowadzili ją do stolika i podali szklankę wody oraz kieliszek wina.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie - zaczął Jacob niestosownie lekkim tonem - konfrontacja z tym padalcem wypadła całkiem nieźle. Nie ukatrupiłem go. A to już coś. Poza

tym jest jeden wspaniały skutek uboczny: już nie musimy się stawić na jego przyjęciu. Może przysłemy mu jakiś prezent? Drzewko szczęścia?

- Zwariowałaś? - wymamrotała Jianne.

- Istotnie, to byłby najwłaściwszy prezent - zawyrokował wujek Bruce, a reszta mężczyzn pokiwała głową z powagą.

- A co z pogrózką? - odezwała się Jianne. - Czy któryś z was chociaż odrobinę się nią przejął?

- Zapytał, czy chcesz mnie posłać do piachu, prawda?

Jianne przytaknęła, załamana.

- Czy powiedziałaś „tak”?

- Pytanie retoryczne - burknęła, urażona.

- Widzisz? - Uśmiechnął się pogodnie. - Nie ma się czym martwić.

- Naprawdę postradałeś zmysły - orzekła Jianne. - Dlaczego zawsze przyciągam wariatów?

Jacob zaśmiał się głośno. Poczł, jak ulatuje z niego napięcie i negatywna energia, która skumulowała się w nim podczas tych kilku minut w towarzystwie Zhi Fu.

- Oto jest pytanie... - zakończył filozoficznie.

Przez resztę wieczoru chętnie rozmawiał z wszystkimi członkami rodziny Jianne, która po wybuchu płaczu wpadła w refleksyjny nastrój. Przed wyjściem Jacob nie omieszkał skosztować steku, tylko po to, by przez telefon przekazać Luke'owi, że ten horrendalnie drogi kawałek mięsa wcale nie był sto razy smaczniejszy niż pierwszy lepszy stek. Przy okazji powiedział mu, żeby nie przyjeżdżał po nich autem. Odrzucił również propozycję podwiezienia ich do domu przez Bruce'a i Elenę; wstydziłby się ich zaprosić do środka na kawę. Zamówił więc luksusową taksówkę, za którą słono zapłacił.

Wejście do dojo było niczym wkroczenie do innego świata. O wiele biedniejszego. Lecz również prawdziwszego, przynajmniej dla Jacoba. Spojrzał na obskurną kuchnię, a potem na swoją przepiękną żonę. Rażący kontrast nie rozbawił go. Czuł, że cała ta historia z Jianne zakończy się klęską i ruiną.

Nowe wspomnienia zastąpią stare, lecz będą tak samo bolesne.

Sięgnął do szafki i wyjął szklanke. Czego się napić: whisky czy wody? Kogo dziś posłuchać: diabła czy anioła? Wybrał wodę.

- Powinnaś się położyć - rzucił szorstkim tonem.

- Chodź ze mną.

Zakleszczył palce na blacie odrapanego stołu.

- I co potem? Będziemy znowu małżeństwem? Nadal nie rozwiązaliśmy problemów, które zniszczyły nasz związek, Jianne. Rozejrzyj się dookoła. Przyjrzyj się dokładnie temu, co mogę ci dać.

Ani drgnęła.

- To mi odpowiada.

Ruszyła w jego stronę. Zatrzymała się tuż przy nim. Jego oczy pociemniały. Usłyszała, jak wstrzymuje oddech. Czyżby się jej bał? A jeśli nie jej to czego?

- Wiesz, co widzę? Mężczyznę, który dziś wieczorem naraził dla mnie swoje życie. Mężczyznę, który ubiegłej nocy podarował mi rozkosz najwyższą z możliwych. Mężczyznę, z którym dziś poszłabym do łóżka. Gdybym miała na to ochotę.

Pogładziła czule jego policzek. Chwycił jej dłoń, przytknął ją do ust i zaczął całować, coraz namiętniej, aż dotarł do idealnie gładkiej skóry na jej nadgarstku. Przymknęła powieki, wzdychając z rozkoszą.

- Powiedz, że mnie chcesz - poprosił chrapliwym głosem.

- Chcę...

- Powiedz, że uwielbiasz to, co ci robię.

- Uwielbiam...

Pojmał ustami jej rozchylone wargi. Oboje natychmiast poddali się pożądaniu, którego byli zakładnikami. Jianne zsunęła z ramion Jacoba marynarkę i koszulę, on z kolei zadarł do góry jej długą, czerwoną suknię, wyluskał piersi z jej stanika, po czym zatracił się w nich, sycąc swe zmysły. Jianne, odrzucając w tył głowę, usłyszała jego przytłumiony głos:

- Rozpuść włosy. Zrób to dla mnie.

Spełniła jego życzenie. Wyjęła zakończone perłami spinki i rzuciła je na ziemię. Pachnące, jedwabiste włosy rozsypały się na jej ramionach, plecach oraz twarzy Jacoba. Zadrżał na całym ciele. Wyprostował się, wstał, wziął ją za rękę i zaprowadził na górę.

Zrzucili z siebie ubrania, aż wreszcie stali naprzeciwko siebie zupełnie nagi. Jianne znowu wyciągnęła do niego dłoń, zapraszając go do wspólnej nocy, która była równie namiętna i odurzająca, jak poprzednia. Zatracili się w rozkoszy, nie zadając sobie pytań o przeszłość ani przyszłość. Liczyła się tylko ta chwila, zawieszona w czasie, umiejętnie udająca wieczność.

TLR



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego ranka Jacob uniósł powoli powieki. Obok niego leżała Jianne, wciąż pogrążona we śnie. To do tej filigranowej kobiety należało kiedyś jego serce. Kiedyś i teraz. I to właśnie sprawiało, że poranki były dla niego takie trudne. Ich wspólne, przepełnione dziką namiętnością chwile były wspaniałe, lecz kiedy się kończyły, Jacoba zawsze zaczynały dręczyć wyrzuty sumienia. Miał wiele teorii, lecz nie udawało mu się ustalić ich źródła. Wiedział jedynie, że przyniesie jej nieszczęście.

Wymknął się z łóżka i przeszedł za ścianę, gdzie kiedyś znajdowały się jego ubrania. Teraz była to garderoba Jianne, lecz w kącie nadal stało pudło pełne jego ubrań. Wyjął z niego sprane, znoszone dżinsy i włożył je, by zejść na dół pod prysznic. Zamknął oczy i westchnął cicho. Nadal czuł głód ciała swej pięknej, zmysłowej żony.

Ruszył w kierunku drzwi, starając się bezdźwięcznie stąpać po wypolerowanej, drewnianej posadzce. Nagle podłoga skrzypnęła. Zerknął na Jianne.

Leżała z otwartymi oczami. Nie obudziła się przed chwilą. Jej oczy wypełniał smutek.

- Dzień dobry - mruknął. Jianne nie odpowiedziała. - Muszę... - Nie wiedział, co właściwie musi. Uciec stąd?

- Iść na trening? - podsunęła Jianne.

- Nie. Trening mam o dziewiątej. Muszę wziąć prysznic. Na dole.

- Tutaj też jest prysznic.

- Tak, wiem. Ale... nie chciałem hałasować, żeby cię nie obudzić.

- Posłuchaj, Jacob. Jeśli chcesz ode mnie odpocząć, idź na dół. A jeśli chcesz, zostań tutaj, a ja pójdę poszukać czegoś na śniadanie. - Przykryła się szczelnie kołdrą. - Nie zważaj na mnie. Idź.

Coś go do niej przyciągnęło. Jej piękno, smutek, a może wrażliwość? Usiadł obok niej na łóżku i złożył delikatny pocałunek na jej czole, nosie i miękkich, słodkich ustach. Wiedział, że jego obowiązkiem jest ją chronić. A zamiast tego wciągał ją w swój świat, oddalony o lata świetlne od jej świata.

- Jianne, ja lubię to, co robię. Lubię to, jak żyję. - Jianne pogłaskała jego szorstki policzek. - Nie mogę być taki jak ci faceci na wczorajszym balu.

- Nikt tego od ciebie nie wymaga.

- Nie mogę dać ci życia, do jakiego przywykłaś.

- A czy ja narzekam? - wyszeptała czule.

- Nie. Nigdy. - I to jest problem, dodał w myślach. - Nigdy nie wiem, czego chcesz. A jeśli się dowiaduję, to jest już za późno.

- Chcę, żebyś mi poświęcił kilka minut twojego poranka. Chcę choćby jednego spojrzenia. Pocałunku. I żebyś nie zachowywał się tak, jakby w nocy nic się nie wydarzyło.

- Dobrze - zapewnił ją.

Zatopiła w jego przystojnej twarzy poważne spojrzenie.

- Powiedz, że mnie chcesz - poprosiła.

- Chcę.

- Powiedz, że myślisz o mnie, kiedy mnie zostawiasz.

- Zawsze o tobie myślę.

- Powiedz, że nie żałujesz tego, co miało miejsce w nocy.

Tego nie mógł powiedzieć. Po prostu nie mógł.

- Przyniosę ci herbatę. - Pocałował ją po raz ostatni, z ognistą pasją, a potem wyszedł.

W piątek Jacob wprowadził się z powrotem do swojego mieszkania, a Jianne się z niego nie wyprowadziła. Pewnego razu zasugerowała, że można by pokój gościnny, przylegający do kuchni, zamienić w salon. Trzeba było jedynie zburzyć ścianę pomiędzy kuchnią a pokojem. Ona zajęłaby się całą resztą, czyli gustownym wystrojem.

Jacob pomyślał, że to poważna sprawa, kiedy kobieta chce burzyć ściany w mieszkaniu mężczyzny.

Zaprosił Luke'a, by mu pomógł przy robocie. Pomysł Jianne spotkał się z aprobatą młodszego Bennetta.

- Spójrz prawdzie w oczy, braciszku - zaczął Luke, uderzając energicznie wielkim młotem w ścianę. - Twoja rodzina się powiększa. Musisz teraz brać pod uwagę potrzeby Po. Chłopak potrzebuje trochę własnej przestrzeni.

- To nieprawda - wtrącił szybko Po. - Nawet nie potrzebuję własnego pokoju. Mogę spać byle gdzie.

I, niestety, tak się dzieje, pomyślał Jacob, czując wyrzuty sumienia. Zdecydował, że dłużej tak być nie może.

- No i, rzecz jasna, masz też teraz swoją księżniczkę - dodał Luke jowialnym tonem. - Przecież ona nie wymaga od ciebie Bóg wie czego. Prosi tylko o wygodną kanapę. Jeśli chcesz, żeby została, musisz zacząć myśleć o jej potrzebach.

- Przecież dokładnie to robię - warknął Jacob. Nie cierpiał, gdy ktoś prawił mu kanzania. Zwłaszcza młodszy brat, którym niemal całe życie się opiekował. - Prawda?

Luke uśmiechnął się do niego szeroko.

- Prawda, braciszku. - I kolejny raz uderzył młotem w ścianę z taką mocą, aż na głowę spadły mu kawałki tynku.

- A więc oni naprawdę chcą to zrobić? - zapytała Madeline, otwierając drzwi swojego mieszkania, by wpuścić Jianne. - Rozbiją ścianę, zrobią salon, a może nawet nową kuchnię zamiast tamtej zapyziałej kanciapy? O, mamusiu, a jednak cuda się zdarzają!

Jianne opadła ciężko na kuchenny stół, podczas gdy gospodyni zaczęła przyrządzać kawę, której aromat przesycił powietrze.

- Nie wiem, co w niego wstąpiło - westchnęła Jianne. - Rzuciłam tylko sugestię. Ot, tak sobie. A on wziął ją na poważnie i robi rewolucję!

- To był znakomity pomysł, moja droga. Chcesz się wybrać na zakupy? Po nowe meble.

- Nie mogę. Jestem rozdarta. Bardzo bym chciała, ale nie mogę!

- Dlaczego?

- Bo to nie jest mój dom!

- Jesteś jego żoną - przypomniała jej Madeline.

- Jesteśmy w separacji - odparła Jianne w mgnieniu oka. - Wprowadziłam się do niego tylko po to, by ukryć się przed psychopata.

- Spałaś z nim?

- Z tym psychopata? Nie.

- Zabawne. Ha. Ha. - Madeline skarciła ją wzrokiem. - Sam fakt, że unikasz odpowiedzi, jest jednoznaczną odpowiedzią. To była pojedyncza chwila zapomnienia czy powtarza się co noc?

Jianne znowu oblała się rumieńcem.

- Ach, rozumiem. To drugie. A to między innymi oznacza, że masz prawo decydować o umeblowaniu w jego domu. Zresztą Jacob chyba też tak uważa. W przeciwnym razie nie zburzyłby dla ciebie ściany.

- I tak nie mogę się wybrać na zakupy.

- Co stoi na przeszkodzie? Pieniądze?

- W pewnym sensie. - Jianne nie była przyzwyczajona do szczerych, przyjacielskich pogaduszek. Nie wiedziała, ile może wyjawić. - Ja... nie należę do najbiedniejszych.

- Pięknie to ujęłaś, kochana - roześmiała się Madeline.

- No, niech ci będzie. Jestem, jak mogliby niektórzy powiedzieć, obrzydliwie bogata. A Jacob nie jest biedakiem, ale też nie jest milionerem. Nigdy nie udało nam się połączyć jego pieniędzy z moimi i zamienić ich w nasze pieniądze.

- Odzywa się w nim męska duma? - podsunęła Maddy.

- Niezupełnie. On strasznie ciężko walczył o to, by jego bracia i siostra mieli normalne życie po tym, jak ich matka umarła, a ojciec ich zostawił. Jacob pracował na budowie, a nocami trenował karate. Przede wszystkim jednak walczył o przetrwanie swojej rodziny. Zarabiał na jedzenie, opłacał rachunki, pilnował, by jego rodzeństwo miało normalne dzieciństwo. Poświęcił im cały swój czas, włożył w to całe serce. Owszem, bywał kategoriyczny i surowy, lecz zawsze kochający i sprawiedliwy. On definiuje siebie poprzez dbanie o innych. Dlatego przysłałaś do niego Po, prawda? Jeśli ktokolwiek choć raz spróbuje zadbać o niego, pomóc mu, on odbierze to jako próbę odarcia go nie tylko z godności, ale także tożsamości - westchnęła na koniec.

Madeline pogładziła dłoń Jianne i spojrzała na nią ze zrozumieniem.

- Nauczyłam się nie przekraczać granic, które wyznaczył Jacob. Lecz dopiero po tym, jak nadwerżyłam jego zaufanie. Nie chcę drugi raz przez to przechodzić. - Westchnęła przeciągle. - Z drugiej strony, jeśli on nie umie zaakceptować faktu, że jestem bogata, to znaczy, że nie mamy przyszłości! - zawołała łamiącym się głosem. - Na razie żyję dniem dzisiejszym i udaję, że problem pieniędzy nie istnieje.

- Kochanie, cierpliwości. On w ciągu tych dwunastu lat dojrzał. Uwierz mi, nie raz cię pozytywnie zaskoczy.

- Pozwolił mi zapłacić za nowe żaluzje - wtrąciła Jianne.

- Widzisz? A teraz chodźmy na zakupy. Przecież zresztą nie chodzi o Bóg wie co. Chcemy jedynie kupić nową sofę. I lampę.

- Przydałby się też kredens. Prosty. Praktyczny. Z ciemnego drewna.

- Masz absolutną rację! - zgodziła się Madeline.

T L R

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Jianne, czy możesz łaskawie powiedzieć, co wyprawiasz? - rzucił Jacob przez telefon, swoim zdaniem z dużą dozą powściągliwości.

- Nie jestem do końca pewna - odparła Jianne. - W tej chwili oglądam gotową kuchnię, idealną do przestrzeni, która teraz jest u ciebie w domu. Madeline uważa, że się u ciebie zadomawiam. Chyba się z nią zgadzam. Problem w tym, że to twój dom i nie chcę być intruzem.

- Chyba trochę na to za późno, nie uważasz? - zauważył cierpko.

- Nie. Zastanawiam się nad kupnem własnego mieszkania. To by rozwiązało cały szereg problemów. Mogłabym wcisnąć w nie wszystkie rzeczy, które właśnie kupiłam.

- A co z Zhi Fu?

Jianne westchnęła do słuchawki.

- Cóż, prawdopodobnie kupiłby mieszkanie w tym samym budynku, na tym samym piętrze. Co nie byłoby zbyt komfortowe. Być może będę zmuszona kupić coś wolno stojącego. W Singapurze nie jest to łatwe. Ani tanie. Nawet dla mnie.

- I nie jest to bezpieczne - wtrącił Jacob. - Zwłaszcza dla ciebie.

- Dlatego Madeline kazała mi do ciebie zadzwonić i zapytać, czy chcesz nową kuchnię, aby ewentualnie powstrzymać lawinę niepotrzebnych zakupów.

Jacob milczał. Wyczuwała jego dezaprobatę.

- Kuchnię mogą zainstalować w jeden dzień. Przy okazji malują ściany i układają kafelki.

- W jeden dzień? - zapytał sceptycznie.

- Owszem. Dajmy na to, jutro.

- Gdzie teraz jesteś?

- W meblowym niebie.

- Powinnaś bezzwłocznie opuścić to miejsce - poradził jej. - To źle wpływa na twoją psychikę.

- A co z kuchnią?

Jacob zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Zamów kuchnię - uległ wreszcie. - Niech sklep wystawi rachunek, opłacę go jutro.

Jianne przez kilka sekund zbierała w sobie siły, by oświadczyć:

- Chciałabym zapłacić za kuchnię oraz umeblowanie salonu. To byłby prezent dla ciebie i Po w ramach podziękowania za to, że mnie przygarnęliście, niechętnie i tymczasowo, ale jednak...

- Ile to wszystko będzie kosztować? - burknął, niewzruszony.

- Wcale nie tak dużo - odparła wymijająco. - Nie wybrałam najdroższych mebli z nierdzewnej stali. Staralam się znaleźć coś pasującego do klimatu dojo. - Po chwili milczenia dodała: - A może... masz jakieś zamówienia? Coś ci kupić?

- Tak. Święty spokój - mruknął posepnie. - Ale to, zdaje się, jest towar, który wyszedł z obiegu.

Dwie godziny później Jianne wróciła do dojo. Towarzyszyło jej narastające przekonanie, że przesadziła, znowu przekroczyła granice, które wyznaczył Jacob. I znowu przyjdzie jej za to zapłacić. W jaki sposób? Otworzyła drzwi dojo, przeszła przez salę, idąc jak na ścięcie, i zamarła w pół kroku z wytrzeszczonymi oczami.

Luke i Jacob nie poprzestali na jednej ścianie; zniszczyli także drugą, dzięki czemu teraz było mnóstwo wolnego miejsca na stworzenie przestronnego salonu, dużej kuchni oraz nieco mniejszej jadalni. W głowie Jianne od razu pojawiła się wizja, jak to wszystko powinno wyglądać. Gdyby tylko otrzymała pozwolenie od Jacoba...

- Jacob?

- Jestem tutaj. - Ukazał się w drzwiach tego, co było kiedyś kwaterą gościnną. Od stóp do głów był cały w kurzu, w jego włosach zaplątały się kawałki tynku. - Madeline nie przyjechała?

- Nie, musiała wrócić na chwilę do biura. - Jacob ruszył w jej kierunku. Puls Jianne natychmiast przyspieszył. - Gdzie jest Po?

- U Luke'a.

- A twoi uczniowie?

- Wszyscy już poszli do domu.

Zerknęła na zegarek. Zdumiała się, że jest już wpół do ósmej wieczorem. W oczach Jacoba, który nagle znalazł się tuż przy niej, dostrzegła jasne płomienie. Wiedziała, co się święci. Wiedziała, o czym myśli. Zadrżała na całym ciele.

- Idziemy pod prysznic - rozkazał. - Natychmiast.

- Ja nie muszę...

- To rozkaz - przerwał jej stanowczym tonem.

Zanim zdołała zaprotestować, niczym jaskiniowiec porwał ją w ramiona, zaniósł na górę, bezceremonialnie zdarł z niej ubranie i zaprowadził pod prysznic. Po chwili jej ciało zaczął obmywać strumień ciepłej wody. Sam również pospiesznie się rozebrał, ciskając brudne ubrania robocze w kąt.

- Gdybyś się jeszcze nie zorientowała, to jest zemsta - wyszeptał gorączkowo prosto w jej ucho.

- Za co?

- Za to, że kupiłaś mi... kuchnię - wyjaśnił.

- Od kiedy ludzie mszczą się za otrzymane prezenty?

Uśmiechnął się drapieźnie.

- W takim razie to nie zemsta, tylko dość specyficzne podziękowanie.

Jianne zamknęła oczy, rozchyliła usta i kolejny raz oddała się požądaniu potężnemu niczym nieokiełznany żywioł.

Późnym wieczorem Po jak zwykle bezszelestnie wszedł do kuchni i oświadczył:

- Ktoś obserwuje dojo.

- Kto? Skąd? - Jacob natychmiast zerwał się z krzesła i podbiegł do chłopca.

- Ktoś z budynku naprzeciwko. Drugie okno od prawej, piąte piętro.

- Może ktoś po prostu pracuje do późna? - zasugerowała Jianne.

Chłopiec energicznie potrząsnął głową.

- Nie.

Od ich spotkania z Zhi Fu na balu charytatywnym minął już prawie tydzień. Nowa kuchnia była już w pełni urządzona, tak samo jak gustownie umeblowany salon, w którym stało kilka miękkich foteli i przepastna sofa, a podłoga wyłożona została jedwabnym dywanem. W domu od razu zapanowała inna atmosfera. Było ładnie. Przytulnie. Jacob



był w duchu wdzięczny Jianne za pozytywne zmiany, które wprowadziła w jego życiu. Bał się jednak czegoś poważniejszego. Bał się zacząć myśleć o dojo w kategoriach ich nowego, wspólnego domu.

- Ji, zasłoniłaś na górze żaluzje?

Jianne siedziała pogrążona w milczeniu, jakby nieobecna.

- Jianne, słyszałaś, co powiedziałem? - powtórzył głośniej.

- Tak, słyszałam - odezwała się wreszcie. - Nie, żaluzje nie są zasłonięte. Otworzyłam okna, by wpuścić wieczorną bryzę. Na górze było dzisiaj tak gorąco, że można się ugotować. - Po chwili namysłu dodała: - Co teraz zrobimy?

- Zależy od tego, co ma zobaczyć ten, który cię podgląda.

- Myślisz, że to Zhi Fu? - zapytała głosem przepelnionym strachem, kiedy wspinali się po schodach na górę.

- Nie wiem.

Kiedy Jianne podeszła do okna, by zasłonić żaluzje, Jacob zawołał:

- Zostaw!

Natychmiast spojrzała na niego, zdumiona. Dostrzegła na jego ustach złowieszczy uśmiech.

- Jeśli to Zhi Fu jest podglądaczem, i teraz nas obserwuje... Chcesz, żeby co zobaczył?

- To, że nigdy nie będę jego - odparła ledwie słyszalnie.

Jacob podszedł do niej spokojnym krokiem, stanął przy oknie, przyciągnął ją do siebie i zaczął powoli rozpinać guziki jej bluzki. Bluzka opadła na ziemię. Przywarł wargami do jej długiej, delikatnej szyi. Westchnęła z rozkoszą. Nie przestał jej rozbierać. W pewnym momencie odwrócił w bok głowę, spojrzał przez okno i wyszeptał bezgłośnie komunikat skierowany do podglądacza:

- Ona jest moja...

Następny dzień zaczął się zupełnie zwyczajnie. Jacob poprowadził poranne zajęcia, zjadł śniadanie z Po i Jianne, a potem odprowadził ją do taksówki, którą pojechała do pracy. Po godzinie przyszedł nauczyciel Po i razem z chłopcem poszedł do jednego z pokojów gościnnych, by przeprowadzić z nim lekcje. Wczesnym popołudniem zaczęło się

zbierać na burzę. W dojo zjawili się jedynie najbardziej zapaleni uczniowie. Trzech starych uczniów Jacoba, Po oraz jeden zupełnie nowy. Wysoki, muskularny, dwudziestokilkuletni mężczyzna. Jacob widział go pierwszy raz w życiu. Przedstawił się jako Tup, adres zamieszkania: Tajlandia. Nazwa miasta nie była Jacobowi obca. Wiele złego słyszał o tym mieście przeżartym korupcją, biedą i zorganizowaną przestępczością. Piekło na ziemi.

Zaprowadził nowego ucznia do szatni i natychmiast odciągnął Po na bok.

- Skontaktuj się z Luke'em - rozkazał mu szeptem. - Niech tu przyjedzie. Bezwzględnie.

Chłopiec wybiegł sprintem, przejęty swoją misją. Jacob kazał reszcie obecnych przeprowadzić indywidualną rozgrzewkę. Wystarczyło kilka minut, by się zorientował, że Tup nie przyszedł tu trenować sztuk walki. Jacob po jego ruchach poznał, że mężczyzna nie potrzebuje tego typu zajęć; widać było, że od dziecka był wtajemniczany w arkanach karate. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że mężczyzna przypadkiem przechodził koło dojo i postanowił dla rozrywki odbyć kilka sparingowych walk. Nie byłoby w tym nic złego ani podejrzanego. W aurze nieznanego Jacob wyczuwał jednak jakąś negatywną energię. Lata doświadczenia i kontaktu z wojownikami wyczuliły go na takie niedostrzegalne dla innych niuanse.

Luke i Po zjawili się dziesięć minut po rozpoczęciu treningu. Po dołączył do ćwiczących. Luke stanął pod ścianą w strategicznym punkcie, by mieć na oku zarówno drzwi wejściowe do dojo, jak i ćwiczących mężczyzn. Po kwadransie intensywnego wysiłku fizycznego wszyscy zdjęli podkoszulki. Jacob zatrzymał wzrok na torsie Tupa: muskularnym, oszpeconym bliznami. Niektóre były stare, wyblakłe, inne jeszcze całkiem świeże. Ciało mężczyzny było niczym jego biografia. Był to z pewnością człowiek zanurzony w świecie krwawej przemocy, na tyle silny i okrutny, że był w stanie w nim przetrwać.

- Pokaż nam, co potrafisz - rzucił nagle Jacob do Tupa. - Walka bez mat. Kiedy przeciwnik pada na ziemię, walka się kończy. Zmierzysz się z każdym po kolei.

- Z tym małym też? - rzucił pogardliwie, mając na myśli Po.

- Też - odparł Jacob. - Będziesz miał okazję nauczyć czegoś utalentowaną młodzież.

Tup rozgromił pierwszego przeciwnika w mniej niż minutę. Z drugim poszło mu równie gładko. Wreszcie przyszła kolej na Po. Tup nie potraktował go ulgowo. Z początku dawał mu fory, lecz wyraźnie znudzony i poirytowany tą mało ambitną walką, nagle wymierzył cios prosto w serce chłopca.

Jacob zamarł. Po w ostatniej chwili zdążył zrobić błyskawiczny unik, pięść mężczyzny jedynie go drasnęła. Zakołysał się, lecz nie stracił równowagi. Brawo, pomyślał Jacob, i odetchnął. Gdyby cios był celny, nie wiadomo, czy chłopiec nie doznałby poważnej kontuzji.

- Teraz moja kolej - zagrzemiał Jacob, stając na przeciwko Tupa.

Nieznajomy wykrzywił usta i wycedził:

- Mam dla ciebie wiadomość.

- Wiem o tym - odparł Jacob stoickim tonem.

- Nie zrobię krzywdy ani małemu, ani twojemu bratu. Jeśli nie staniesz mi na drodze, kiedy będę chciał stąd spokojnie wyjść.

- Jak brzmi wiadomość?

- „Żegnaj”.

I tak oto walka się zaczęła.

Powietrze z prędkością światła przecinały zaciśnięte pięści. Nie było czasu na myślenie. Myślenie oznaczało śmierć. Tu liczył się tylko i wyłącznie instynkt. Tup nie przestrzegał zasad karate, sztuki walki czasem agresywnej, lecz finezyjnej, nie obliczonej na zgładzenie przeciwnika. Kierowała nim mordercza furia. Kilka ciosów, które zainkasował Jacob, prawie zwały go z nóg.

Nagle na samym dnie duszy Jacoba z rykiem obudziła się dzika bestia. Wyrwała się z klatki, w której była przetrzymywana. Jacob uświadomił sobie, co jest stawką w tym pojedynku.

Jego żona.

Jego kobieta.

Jianne.

Kiedy było już po wszystkim, Luke powiedział, że odkąd Jacob zaatakował przeciwnika z przerażającą, lodowatą furją, walka trwała bardzo krótko. Jacob w mgnieniu oka powalił Tupa na ziemię. Wbił mu kolano między łopatki, wykręcając mu ręce. W tym momencie Jacob mógł zadać przeciwnikowi śmiertelny cios, znany najlepszym mistrzom karate. Wystarczył ułamek sekundy. Chwilowa utrata kontroli. Pamiętał, jak jego uszy przeszły błagalne wołanie Luke'a, by tego nie robił. Pamiętał, jak Po chwycił go za nadgarstki, krzycząc do niego piskliwym głosem, próbując go odciągnąć od swej ofiary. Minęło kilka długich jak wieczność sekund.

Jacob wreszcie puścił Tupa, którego ciało rozpląszczyło się na ziemi.

Nie zabił go.

Mało brakowało...

- Wynoś się stąd - wycedził przez zaciśnięte zęby do pokonanego. - Pozwolę ci stąd wyjść. Tylko po to, żebyś przekazał mordercy, który cię przysłał, aby zostawił mnie i moją żonę w spokoju. W przeciwnym razie gorzko tego pożałuje.

Dotrzymał słowa. Tup wytoczył się z dojo z twarzą zamroczoną krwią.

Jacob zadzwonił do Ji i kazał jej zostać w pracy, dopóki nie przyjedzie po nią wujek lub któryś z dwóch kuzynów. A najlepiej niech eskortują ją wszyscy trzej. Kazał Luke'owi nie odstępować Po na krok.

A potem stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy się ocknął, leżał już w łóżku w jednej z gościnnych kwater. Jakiś szczupły, ciemnowłosy mężczyzna uciskał jego brzuch. Jacob błyskawicznie wyprostował się, a jego zaciśnięta pięść zawisła w powietrzu, chwycona przez czyjąś dłoń.

- Spokojnie, braciszku - mruknął Luke. - To tylko pan doktor. Sprawdza, czy będziesz żył - dodał z uśmiechem.

Jacob z powrotem ułożył się na łóżku. Wykrzywił twarz, kiedy błyskawica bólu niemal rozsadziła mu czaszkę.

- Gdzie... Jianne...

- Jest tu, w dojo. Razem z wujkiem, kuzynami i Madeline, Właśnie podziwiają wasz salon. Fajną macie sofę. Gdzie ją kupiliście?

- Zapytaj Ji.

Jęknął głośno, spróbował poruszyć ręką.

- Zwichnięty bark - poinformował go Luke. - Doktor z powrotem ci go nastawił, kiedy błogo sobie spałeś.

Lekarz jeszcze przez kilka minut badał pacjenta, po czym orzekł brak jakichkolwiek trwałych uszkodzeń ciała. Wypisał receptę na wyjątkowo silne środki przeciwbólowe, po czym wyszedł.

Wbrew gorączkowym protestom brata, Jacob dźwignął się i z pomocą Luke'a wstał z łóżka, a następnie pokuśtykał do salonu. Przywitało go milczenie, które nagle zapadło w pomieszczeniu. Wszyscy wpatrywali się w niego z posepnymi minami. U Po dostrzegł ten nad wyraz dojrzały, gniewny wyraz twarzy, którego nie powinno mieć żadne dziecko. Jianne stała nieruchomo, obejmując się ramionami. Jej oczy lśniły łzami.

- Dlaczego pozwoliłeś mu wstać z łóżka? - rzekła Madeline z pretensją do Luke'a.

- Nie pozwoliłem - odparł młodszy z Bennettów.

Wszyscy wiedzieli, że Jacob zawsze robi to, co sam uważa za stosowne.

- Czy ktoś może mi kupić te leki? - wymamrotał Jacob, ściskając w dłoni receptę.

Na ochotnika zgłosił się jeden z kuzynów Jianne. Ona z kolei zapytała łamiącym się głosem:

- Ch-chcesz się czegoś napić?

- Nie.

Do jej oczu napłynęło jeszcze więcej łez.

- Przepraszam... - wyszeptała. - To moja wina...

- Nie. - Potrząsnął energicznie głową, którą nadal rozsadzał mu ból. - Nie twoja.

Pragnął w tej chwili znaleźć się blisko niej.

Poczuć jej dotyk. Lecz tu, w pokoju pełnym innych ludzi, nie odważyłby się okazać takiej słabości.

Madeline przyrządziła kolację, którą wszyscy zjedli w niewielkiej, lecz gustownie urządzonej jadalni. Po posiłku wujek Jianne pojechał do domu, lecz Madeline, Luke i kuzyni Jianne zostali. Przez ponad dwie godziny toczyły się rozmowy na wszelkie możliwe tematy, z wyjątkiem tego jednego, o którym wszyscy zresztą skrycie myśleli: o walce, która mogła zakończyć się śmiercią. Jacoba lub napastnika z Tajlandii. Jacob wiedział, że to nie koniec; wszyscy obecni również zdawali sobie z tego sprawę. Wspólnie ustalono, że od tej pory Jianne oraz Po będą mieli wzmożoną ochronę.

Kiedy wybiła dziewiąta, Jacob marzył już tylko o tym, by runąć na łóżko i pograć się we śnie. Odetchnąć od bólu, wyłączyć umysł. Wyszedł z salonu i stanął w miejscu, w którym kilka godzin temu odbyła się walka na śmierć i życie. Usłyszał za plecami czyjeś kroki. Odwrócił się i spojrzał na Po. Chłopiec wpatrywał się w niego, milcząc w skupieniu. Teraz jednak w jego poważnych oczach Jacob dostrzegł coś nowego, innego. Smutnego. Jaki, do diabła, dałem dziś temu chłopcu przykład? - wyrzucał sobie w myślach. Najpierw pozwoliłem mu walczyć z Tupem, a potem pokazałem mu, że w jego sensie drzemie potencjalny zabójca.

- Przepraszam, Po - mruknął, przykucnąwszy przy nim. - Zawiodłem cię.

- Nie - odparł chłopiec. - Pokonał go pan.

- To bez znaczenia, ponieważ straciłem nad sobą panowanie.

Chłopiec spojrzał na niego swoimi ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami.

- Czasami tak trzeba - odrzekł Po.

Jacob wstał i ruszył ku schodom. Zakręciło mu się w głowie i prawie stracił przytomność. Nagle poczuł czyjaś dłoń na swoim łokciu.

- Mistrzu, pomogę ci.

- Dzięki - mruknął Jacob, posyłając chłopcu szczery uśmiech, i obaj powoli wspięli się po stromych schodach.

Po kilku minutach na górę przysła Jianne. Pomogła Jacobowi się rozebrać i wejść pod prysznic. Delikatnie obmyła gąbką jego poturbowane ciało, omijając wielkie, fioletowe siniaki. Luke bez drastycznych szczegółów opisał to, co się wydarzyło: Zhi Fu nadsłał na Jacoba groźnego zbira; Jacob zainkasował parę ciosów, lecz zwyciężył i przepędził napastnika.

- Dzisiaj prawie kogoś zabiłem - wyszeptał, gdy położył się wreszcie w łóżku.

- Ale tego nie zrobiłeś - odparła Jianne, gładząc jego policzek.

- Chciałem. Zamierzałem. Gdyby nie Luke i Po, zabiłbym go.

- Nie zrobiłbyś tego. Znam cię, Jacob.

W sercu poczuł przyływ czegoś, czego nie potrafił zidentyfikować ani ubrać w słowa. Spojrzał na Jianne, na jej piękną, delikatną twarz. Przez cały dzień marzył o tym, by wreszcie być z nią sam na sam. Zaczął nim kołysać sen.

- Zostań ze mną - wyszeptał niemal bezgłośnie. I zasnął.

Nie wiedziała, czy chciał, by została z nim tej nocy, czy każdej kolejnej. Położyła się obok niego i również zapadła w sen.

- Do diabła, czy przestaniecie mnie wreszcie niańczyć? - wrzasnął na Luke'a i Po, którzy całymi dniami nie odstępowali go ani na krok.

Minęły trzy dni od tamtego feralnego dnia. Jacob dochodził do siebie w szybkim tempie, był jednak irytującym rekonwalescentem. Nic dziwnego, całe życie to on opiekował się innymi, a nie na odwrót. Odbierał to jako ujmę dla swojej męskości i samodzielności. Jego rodzeństwo nękało go telefonami o każdej porze dnia i nocy, bombardując pytaniami, jak się czuje. Jianne obchodziła się z nim jak z kaleką, co również wywoływało u niego napady gniewu. Marzył o tym, by żyć tak, jak wcześniej. Wiedział jednak, że dopóki sprawa z Zhi Fu nie zostanie definitywnie zakończona, jest to niemożliwe. Po nadal twierdził, że ktoś obserwuje mieszkanie Jacoba i Jianne z budynku naprzeciwko. W dojo zainstalowano system alarmowy.

Po tygodniu Jacob był już w stanie jeździć swoim motocyklem. Adrenalina, którą czuł w organizmie, dosiadając swojej ukochanej maszyny, poprawiła mu nieco nastrój. Kiedy któregoś dnia przyjechał odebrać Jianne z pracy, oznajmił, że dzisiaj nie pojedą prosto do domu. Obrął kurs poza miasto, w kierunku wybrzeża. Jianne podziwiała malownicze widoki. Wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że to miasto-państwo jest aż tak pięknym, urozmaiconym miejscem. Po godzinie dojechali do jednej z ulubionych restauracji Jacoba serwujących owoce morza. Właśnie za to lubił słynne Miasto Lwa; można tu było znaleźć wszystko, na co człowiek miał w danej chwili ochotę, wystarczyło wyjechać poza zatłoczone, ogłuszające centrum. Jianne również czuła się dobrze w Singapurze. Do Sydney, gdzie dawno temu mieszkała z Jacobem i jego rodzeństwem, wbrew dobrym chęciom nigdy nie udało jej się przekonać. Może dlatego, że w głębi serca była pełnokrwistą Chinką.

- Czy mogę ci zadać pytanie? - odezwał się Jacob, kiedy zajęli stolik w restauracji.

- Możesz.

- A czy na nie odpowiesz?

- Może - odparła po chwili.

Westchnął głośno. Z Jianne nigdy nie było łatwo i prosto. Zawsze była tajemnicza. Czasem do bólu.

- Dlaczego mnie zostawiłaś?

Jej łagodny uśmiech nagle zgasł, a dłonie zamarły na jej kolanach. Wiedział, że to było ostatnie pytanie, które chciała usłyszeć. Milczała.

- Nie chodziło tylko o konflikt związany z pieniędzmi, prawda?

- Nie - odparła wreszcie. - To był dla mnie poważny problem, lecz nie powód, dla którego ostatecznie zdecydowałam się odejść.

- Chodziło o... szok kulturowy?

- Częściowo - potwierdziła. - Wszystko było takie obce. Nie umiałam prowadzić domu. Nie miałam żadnych przyjaciół. Nie potrafiłam ci pomóc. - Westchnęła. Rozdrapywanie tych ran było dla niej piekielnie bolesne. - Nie pasowałam tam. I zawiodłam cię, stając się dla ciebie balastem, kolejnym obowiązkiem. Zresztą teraz jest identycznie. Ca-



ła ta sprawa ze Zhi Fu... nadal przysparzam ci jedynie problemów. Jak widać, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają - zakończyła z gorzkim uśmiechem.

- Jianne, nie jesteś dla mnie żadnym obciążeniem - powiedział z żarem. - I wcale mnie nie zawiodłaś. Ani wtedy, ani... nigdy. A cała ta paskudna historia z Zhi Fu przecież nie jest twoją winą. Wszyscy na twoim miejscu zwróciliby się do kogoś bliskiego o pomoc. Tak jak ty do mnie.

- Dzięki. - Nadal bała się spojrzeć mu w oczy. - I tak nie powinnam cię była w to wciągać.

- A kogo, jak nie mnie?

- No właśnie. W tym problem.

Jej usta ułożyły się w smutny uśmiech, który szarpnął go za serce.

- Twoja rodzina nie okazała ci wsparcia? - zapytał ostrożnie. - Dlatego wyjechałaś z Szanghaju?

- Nigdy nie poznałeś bliżej moich rodziców, prawda? Oni nie są złymi ludźmi. Po prostu mnie... nie rozumieją. Już dawno temu napisali dla mnie życiowy scenariusz. Miałam wyjść za mąż za jakiegoś bogatego chłopca z Szanghaju, a potem całe życie kontynuować tradycję mojej dynastii. Ja tego nie chciałam. Uznali to za bunt. A nasze małżeństwo za błąd. Nie dostrzegli w nim miłości. Jedynie same kłopoty, które rzekomo na siebie ściągnęłam. Zażądali, abym się z tobą rozstała. A kiedy tego nie zrobiłam, wyrzekli się mnie.

- Nigdy mi o tym nie powiedziałaś.

- Wiem. - Znowu uśmiechnęła się smutno. - Staralam się o tym nie myśleć. Nie wiedziałam jednak, że bez wsparcia rodziny poczuję się tak osamotniona. Zaczęłam emocjonalnie polegać tylko na tobie. To było niezdrowe. Zżerała mnie zazdrość, ilekroć coś innego niż ja zaprzętało twoją uwagę.

- Mogłaś mi powiedzieć! - rzucił szorstko. - Okazałbym ci więcej wsparcia. I uczucia.

- Jesteś tylko człowiekiem. Wtedy byłeś jeszcze prawie nastolatkiem, z licznym rodzeństwem na głowie. Snułeś marzenia o mistrzostwie świata w karate. Ciężko pracowałeś. A twoja żona chciała od ciebie więcej, niż mogłaś jej dać. Wiesz, dlaczego od cie-

bie odeszłam? Nie dlatego, że cię nie kochałam, tylko dlatego, że prawie zupełnie zniszczyłeś swoje relacje z rodzeństwem i niemal porzuciłeś marzenia o karierze sportowej. Przeze mnie! Odeszłam, bo chciałam dla ciebie jak najlepiej. A ja nie byłam twoim wymarzonym trofeum. Odeszłam, bo chciałam również jak najlepiej dla siebie, a wiedziałam, że jeśli zostanę, zacznę siebie nienawidzić. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie. Żadnych.

Patrzył, jak Jianne chwytła swój kieliszek wina i wypija zawartość jednym haustem. Był oszołomiony jej wyznaniem. Nie potrafił tego ogarnąć umysłem. Co mu w tej chwili zostało? Dobre maniery.

- Więcej wina? - zapytał z kurtuazją.

- A czy to prowadzi do utraty pamięci? - zapytała z gorzką ironią.

- Tak, jeśli bardzo będziesz tego chciała - odparł. - Moglibyśmy zapomnieć o przeszłości i żyć terażniejszością. Tym, co mamy teraz. Uważam, że to świetny pomysł.

- Teraźniejszość? Masz na myśli tę oto historię: wpraszam się do twojego domu, do twojego życia, żądam od ciebie ochrony, a potem narażam cię na śmierć?

- Tak, właśnie to miałem na myśli - potwierdził z rozbajającym uśmiechem. - Zatem... więcej wina?

- Tak. Poproszę. - Przez dłuższą chwilę wpatrywała się zmrużonymi oczami w ciemnoczerwony trunek, jakby krył w sobie jakąś tajemnicę lub wróżbę. - Czy myślisz czasem o przyszłości?

- Tak - mruknął. Odkąd stanął twarzą w twarz ze śmiercią, zaczął rozmyślać o tym, czego najbardziej pragnie od życia. - Ostatnio bardzo często.

Tego wieczoru, kiedy wrócili do domu, Jacob podszedł do Jianne siedzącej w salonie na sofie, ukląkł przy niej i spojrzał jej prosto w oczy z poważną miną.

- Przepraszam za to, że cię zaniedbałem - wyznał szeptem. - Żałuję, że tak to się wszystko ułożyło. Wiem, że moi bracia i Hallie nie byli łatwymi, bezproblemowymi dziećmi. Jak ich nazywałaś, kiedy puszczały ci nerwy?

- Dzikie plemię...

- Doskonałe określenie. Musisz jednak wiedzieć, że po twoim odejściu bardzo za tobą tęsknili. Było im o wiele gorzej niż wcześniej. Mnie również. Boże... naprawdę nie

miałem pojęcia, że wmówiłaś sobie, że jesteś dla mnie ciężarem. Gdybym mógł zmienić jedną rzecz ze swojej przeszłości, zmieniłbym właśnie to. Sprawiłbym, żebyś całym sercem poczuła, jak bardzo byłaś mi potrzebna. Jak bardzo mi pomagałaś. Tak bardzo, że nie jestem w stanie tego wyrazić.

Oczy Jianne nabiegły łzami. Spuściła głowę.

- Czy możemy pójść dziś wcześniej do łóżka? - zapytała.

- Oddzielnie? - Czekał na odpowiedź z sercem ściśniętym strachem.

- Nie. - Wtuliła twarz w jego ramię. Objął ją i przytulił najczulej, jak potrafił. - Razem.

TLR

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wiedział, że tak dalej być nie może. To się musi wreszcie skończyć - pomyślał po raz tysięczny, zaciskając pięści. Zhi Fu musi zniknąć z ich życia. Raz na zawsze. Jacob miał już dość czekania w napięciu na następny ruch psychopaty. Kiedy uderzy? W jaki sposób? Kogo na niego naśle? Jianne również nie może żyć w ciągłym stresie i poczuciu zagrożenia.

Jacob miał plan: najpierw pozbyć się Zhi Fu, potem pozwolić Jianne odejść, a następnie ponownie ją zdobyć. Dodatkowy podpunkt brzmiał: nie zginąć.

Aby rozprawić się z prześladowcą Jianne, gotów był sięgnąć po bardziej drastyczne metody. Te dotychczasowe nie skutkowały. Jacob i Jianne specjalnie dla Zhi Fu odgrywali rolę szczęśliwego małżeństwa, które wije sobie nowe gniazdko. Codziennie po pracy odwiedzali centra handlowe, spacerując wolno alejkami, by z łatwością można ich było śledzić. Godzinami krążyli po sklepach, zastanawiając się, który telewizor wybrać do salonu lub którą lampę kupić dla Po. Czasem wydawali pieniądze Jacoba, na przykład na telewizor, a czasem pieniądze Jianne, na lampkę, ręczniki do łazienki, nową pościel. W ten właśnie sposób „bawili się w dom”. Zdaniem Jianne, Jacob odgrywał swoją rolę wręcz perfekcyjnie. Natomiast ona... zupełnie niechcący zakochała się w ich życiu rodzinnym na pokaz, zapominając, że to wszystko jest jedną wielką mistyfikacją.

Nie odnowili przysięgi małżeńskiej. Jacob ani razu nie wyznał jej wielkiej, wiecznej - lub jakiegokolwiek - miłości. Ona zresztą również ani razu otwarcie nie wspomniała o swoich uczuciach. Nie chciała komplikować tego układu. Bo to przecież tylko układ, prawda? - pytała samą siebie w myślach. Udawali szczęśliwe małżeństwo tylko po to, by odstraszyć Zhi Fu. Kiedy uda im się wreszcie ta sztuka, Jacob zapewne zażyczy sobie, by Jianne się wyprowadziła. Sama myśl o tej chwili napawała ją grozą. I nie chodziło tylko o to, że piekielnie brakowałoby jej wspólnych, namiętnych nocy, podczas których oboje zaznawali nie tylko niebiańskiej rozkoszy, ale również ukojenia, chwil prawdziwego spokoju. Jianne każdego dnia coraz bardziej przywiązywała się do tego nowego życia. Zżyła się z Po i cieszyła, że chłopiec zwraca się do niej o pomoc lub poradę tak często, jak do swojego senseia. Była również w duchu dumna z faktu, że większość ludzi w oko-

licy zna ją jako żonę Jacoba Bennetta. Tego faceta, który - jak głosiła plotka - dla swojej żony by zabił.

Lub umarł.

Minęły dwa tygodnie od dnia, kiedy Jacob stoczył walkę z Tajlandczykiem nasłanym przez Zhi Fu. Niezrównoważony i bardzo niebezpieczny adorator Jianne od tamtego czasu milczał. Nie wydzwaniał do niej, nie przysyłał jej żadnych liścików, prezentów ani zaproszeń. Zupełnie tak, jakby wreszcie wybił ją sobie z głowy.

Wiedziała, że powinna poczuć ulgę. Niestety nie poczuła. O dziwo, stało się coś wprost przeciwnego.

Jej paranoja zaczęła się pogłębiać.

Tego wieczoru Jacob nie wsiadł na swój motocykl, by pojechać po Jianne. Poinformowała go przez telefon, że po pracy idzie na zakupy z Madeline, która potem przywiezie ją do dojo. Jacob nie miał nic przeciwko, jak zwykle kazał jej tylko zachować ostrożność i ani na krok nie odstępować narzeczonej Luke'a. Sam natomiast, zakończywszy ostatni trening tego dnia, udał się do restauracji starego pana China, by kupić coś na kolację. Kiedy Jianne wróci z zakupów, na pewno będzie wyczerpana i głodna jak wilk.

Pochłonięty dłuższą niż zwykle pogawędką z panem Chinem, nagle usłyszał w odległości syreny. Po chwili ulicą przejechał wóz strażacki na sygnale. Jacob zignorował go i znowu podjął miłą rozmowę z właścicielem restauracji, wypytyując go przy okazji, czy nie widział ostatnio w pobliżu żadnych podejrzanych typów. Przerwał, gdy po minucie za jego plecami tą samą ulicą przejechał drugi ryczący wóz strażacki i również skręcił za rogiem. Syreny tym razem nie ucichły. To znaczyło, że straż pożarna zatrzymała się gdzieś nieopodal.

- Zdaje się, że to gdzieś w pobliżu pana domu - odezwał się pan Chin.

Po chwili po ulicy przejechała karetka na sygnale i skręciła z piskiem opon w ulicę, przy której znajdował się dom Jacoba. Ruszył w tamtym kierunku szybkim krokiem. Skręcił za rogiem i nagle jego serce zaczęło łomotać tak mocno, że zagłuszyło wycie syren. Na pewno to nie jego dojo się pali, ale może któryś z sąsiednich budynków? Ogień łatwo się rozprzestrzeni. Przepychając się przez tłum gapiów, którzy zgromadzili się na krawężniku, podniósł wzrok, by sprawdzić, gdzie wybuchł pożar.

W ułamku sekundy jego serce ogarnęło uczucie czystej paniki i grozy. Zaczął biec, biec najszybciej, jak potrafił, mijając wozy strażackie, ambulanse, strażaków podpinających węże do hydrantów. Biegł wpatrzony w dziki pożar, który trawił jego dom. Front dojo był jedną wielką ścianą ognia. Wściekle płomienie wspinały się na górę, do okien jego mieszkania. Mieszkania Jianne. Musi tam wbiec. Musi... jeszcze kilka kroków, a znajdzie się przy drzwiach wejściowych, będących teraz czarną jamą, z której buchał dławiający dym.

Nagle ktoś z całych sił chwycił go za rękę.

- Niech się pan cofnie! - wrzasnął strażak.

- W środku jest prawdopodobnie kobieta i chłopiec! - odkrzyknął Jacob. - Czy widział ich pan?

Strażak potrząsnął głową. Podmuch piekielnego żaru kazał im zrobić kilka kroków do tyłu. Jakim cudem budynek płonie tak szybko? To nie mógł być wypadek...

- Proszę pana! - usłyszał czyjś głos za plecami. Odwrócił się. Członek ekipy ratowniczej. - Niech się pan cofnie! Natychmiast!

- Ja tu mieszkam - odparł Jacob. - Razem z żoną i młodym chłopcem. Czy widział ich pan?

- Nie, proszę pana. Niech pan poczeka przy karetce. Wszystko się wyjaśni...

Nie chciał czekać. Nie mógł czekać. Boczna uliczka, pomyślał nagle. Może Jianne i Po wybiegli z dojo tylnym wyjściem, prosto w boczną uliczkę? Rzucił się biegiem w jej stronę, przepychając się przez tłum. Ewakuowano wszystkich mieszkańców pobliskich budynków. Nieziemskie zamieszanie, krzyki, wycie syren, potworny żar. Nie wiedział, że pożar jest czymś tak głośnym; płomienie wyją, trzeszczą, ryczą, zawodzą jak obłąkane demony. Nie wiedział, że serce może bić tak szybko i mocno. Brakło mu tchu, lecz jeszcze nie stracił nadziei.

Wreszcie wbiegł w głąb uliczki. Tu też byli strażacy zabezpieczający sklepiki i restauracyjki, próbujący gasić wschodnią ścianę dojo. Jacob zauważył, że tylne kwatery gościnne są jeszcze nietknięte przez płomienie.

- Jianne! Po! - krzyknął na całe gardło.

Coś się poruszyło na dachu. Jakiś cień. Sylwetka. A potem głos.

- Mistrzu, tutaj!

Po.

Jacob odczuł tak gwałtowną ulgę, aż zatoczył się i uderzył plecami w kamienny mur.

- Jesteście tam oboje?

- Nie. Tylko ja.

- A gdzie Jianne?

- Nie wiem.

Zrobiło mu się czarno przed oczami. Chciał się wreszcie obudzić z tego koszmaru. To wszystko nie dzieje się naprawdę...

- Wszedłem do domu tylnym wejściem - zawołał Po. - Dojo już płonęło ale nie tak bardzo jak teraz. Przeszedłem przez kwatery do kuchni, ale nie mogłem wejść do sali treningowej ani na górę. Jianne nie było w kuchni. A była tam, kiedy wychodziłem wcześniej z domu.

Jacob przecesał dłonią włosy. Wszystko przed oczami nagle mu się rozmazało. Łzy.

- Mogę stąd zajrzeć przez okna mieszkania - odezwał się znowu Po. - Jedno okno było już rozbite, zanim płomienie dotarły na górę. Zdaje mi się, że to Jianne wybiła okno, aby wyjść z mieszkania na dach nad kwaterami, a potem zeskoczyć na ziemię. To wcale nie tak wysoko. Mogło się jej udać.

Jacob rozpaczliwie chwycił się tego skrawka nadziei. Pomógł Po zeskoczyć z dachu. Zauważył, że chłopiec ma przypalone włosy nad czołem oraz rozległe poparzenie na prawym ramieniu. Skrzywił się na widok rany.

- Muszę cię zaprowadzić do karetki - rzucił do chłopca.

- Nie! - zaprotestował Po. - Musimy znaleźć Jianne. Musi gdzieś tu być.

Zaczęły się paniczne poszukiwania. Okrążyli cały budynek, sprawdzili wszystkie boczne uliczki, wszystkie zakamarki. Nigdzie jej nie było.

- Może zginęła gdzieś w tłumie? - zastanawiał się na głos Jacob. - Może już ktoś ją znalazł?

Wybiegli przed front budynku, prosto w tłum gapiów, lekarzy i strażaków. Z powrotem w sam środek tego piekła. Gorączkowo omiatali wzrokiem wszystkie twarze, szukając tej jedynej. W pewnym momencie ujrzeli Luke'a i Madeline, którzy również biegali między ludźmi, wołając na głos imię Jianne.

Bezskutecznie.

Nadzieja w sercu Jacoba zaczęła gasnąć. Ogarniało go coś gorszego niż skrajna panika i rozpacz.

Pewność. Pewność, że Jianne jednak jest w środku budynku. Zatrzymał się, zgiął w pół, by zaczerpnąć tchu, otrzeć twarz z łez. Uniósł wzrok i kątem oka dostrzegł to, czego szukał. Jianne. To chyba ona. Ktoś ją zasłonił. Rzucił się biegiem w jej kierunku. Czy to na pewno ona? Gdzie ona jest? Przywidzenie... Przed chwilą tu była.

- Jianne! - zawył na całe gardło.

Ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się natychmiast. Ujrzał jej twarz. Osmoloną, pobrudzoną, z kilkoma czerwonymi plamami krwi. Miała podartą bluzkę, z ran na jej kolanach ciekła krew. Oddychała szybko i płytko. Jej oczy lśniły łzami.

- Dojo spłonęło - powiedziała niemal bezdźwięcznie.

- Wiem. - Położył dłoń na jej twarzy, odgarniając przypalony kosmyk włosów. - To bez znaczenia. - Nie mógł jej przytulić. Bał się, że ma jakieś poważniejsze rany. - Poparzyłaś się?

- Nie wiem. Wszystko mnie boli... ale chyba płomienie mnie oszczędziły.

- Z wyjątkiem włosów. - Jego twarz wykrzywił uśmiech. Nic z tego, co się wydarzyło, jeszcze do niego tak naprawdę nie dotarło. - Wyszłaś przez okno?

- Tak.

Przytulił ją bardzo delikatnie, szukając na jej ciele oparzeń i ran. Gdy poczuł jej oddech na policzku, zadrżał na całym ciele. To było najwspanialsze doznanie, jakie mógł sobie teraz wyobrazić.

Oddech Jianne. Jianne żyje. Życie się nie skończyło.

- Bałem się, że cię straciłem - wyszeptał, pozwalając, by zalała go fala uczuć, przed którymi nie mógł się dalej bronić.

- Nie straciłeś. Jestem tutaj.



- Nadal nie wierzę. Muszę to sprawdzić...

Nachylił się ku niej i niezwykle delikatnie pocałował ją w usta. Jianne oplótła go ramionami, odwzajemniła pocałunek z pasją, o jaką by jej w tej chwili nie podejrzewał.

- Zanim wybuchł pożar... i spaliło się dojo... chciałam ci coś powiedzieć - zaczęła tajemniczo. - Czekałam na to cały dzień. Ale potem wydarzył się cały ten koszmar...

- Możemy wszystko odbudować - odparł z żarem. - I odbudujemy. Nie tylko dojo, ale również nasze małżeństwo. Bo właśnie tego najmocniej pragnę. Co chciałaś mi powiedzieć?

- Że cię kocham - wyszeptała, wtulając twarz w jego ramię. Przytulił ją jeszcze mocniej. - I zawsze cię kochałam. Chciałam tylko, żebyś wiedział - dodała nieco nieśmiało.

- Teraz już wiem - powiedział z uśmiechem. - A za chwilę ty się ode mnie czegoś dowiesz...

W szpitalu stwierdzono, że Jianne na szczęście nie odniosła żadnych poważnych obrażeń. Pokaleczyła sobie jedynie dłonie i nogi, kiedy uciekała z płonącego domu przez okno, oraz zwichnęła nogę w kostce, gdy skoczyła z dachu.

- Czuję się dobrze - powiedziała Jacobowi, cały dzień czuwającemu przy jej szpitalnym łóżku. - Nie musisz się mną martwić. Martw się o Po.

Nie było ku temu powodu. Chłopiec był teraz u Madeline i Luke'a, którzy wezwali lekarza, by się zajął jego oparzeniem i skaleczeniami. Jacob powoli uświadamiał sobie, że nie musi zawsze za wszystkich brać odpowiedzialności; czasem lepiej jest pozwolić komuś innemu, by nas wyręczył i odciążył. Jianne od dawna twierdziła, że jest to trudna, lecz obowiązkowa lekcja, którą jej mąż musi wreszcie odrobić.

Jacob wstał od łóżka żony i ruszył w kąt pokoju, by nalać dla niej wody. Zamarł w pół kroku. W progu stał ktoś, na widok kogo poczuł przypływ czystej furii. Zacisnął pięści i zęby. Modlił się o to, by nie stracić nad sobą panowania i nie dopuścić się tego, na co miał teraz przemożną ochotę: zrobić temu człowiekowi dotkliwą krzywdę.

Jianne poczuła, jak na widok Zhi Fu jej serce przestaje na kilka chwil bić. Spojrzała na Jacoba, który wyglądał jak tygrys gotowy do skoku. Przeraziła się rozlewem krwi.

Chociaż gdzieś w głębi duszy pragnęła zemsty na swoim prześladowcy, który tak długo zatruwał jej życie, obrócił w ruinę dojo Jacoba stające się powoli jej domem.

- To nie ja podpałem dojo - oświadczył Zhi Fu po angielsku.

Jianne mogłaby przysiąc, że przez chwilę na jego twarzy dostrzegła cień żalu i bólu. Za późno, za mało, pomyślała, gromiąc go wzrokiem.

- W takim razie kto? - zapytała Jianne, czując wzbierający w niej gniew. - To nie był wypadek.

- Uwierz mi, to nie ja - powtórzył mężczyzna.

- Dlaczego miałabym ci uwierzyć? Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś...

- A cóż takiego ci zrobiłem, prócz tego, że próbowałem ci uświadomić, że miałabyś ze mną wspaniałe życie? Mam wiele do zaoferowania, Jianne. Nie tylko pieniądze.

- Nasłałeś mordercę na mojego męża.

- Tup miał go pobić, a nie zabić.

- Doprawdy? - odparła, nie dowierzając. - Na balu spytałeś mnie, czy chcę, by Jacob zginął.

- Tylko po to, żeby cię przestraszyć. I żebyś go rzuciła. - Uniósł głowę i oświadczył niemal uroczystym tonem: - Ja się nie bawię w mordowanie. To jedyna rzecz, której się w życiu nie dopuściłem. Jedyna granica, której nie przekroczyłem.

- Nie wierzę ci - syknęła.

- Wynająłem detektywa, by cię obserwował - wyznał nagle Zhi Fu. - Udało mu się zrobić zdjęcia podpalacza. Wkrótce policja otrzyma te fotografie. Dzięki mojej uprzejmości.

- Jak prawem ją podglądałeś? - warknął Jacob.

Zhi Fu rzucił mu pełne pogardy i niechęci spojrzenie.

- A jakim prawem ty utrudniałeś mi kontakt z kobietą, która tak wiele dla mnie znaczy? - wycedził. Zwrócił się ponownie do Jianne. - Przyszedłem tu, by zobaczyć, jak się czujesz i pomóc w schwytaniu podpalacza. Powoduje mną uczucie, którym cię darzę. Nawet jeśli ty go nie odwzajemniasz.

- Zhi Fu... - zaczęła, lecz urwała. Musiała mu przyznać rację: z własnej woli okazuje chęć pomocy. Co za skomplikowany człowiek, pomyślała. Może nie do końca jeszcze

przeżarty złem i egoizmem. Zasługuje raczej na współczucie. - Dziękuję ci za troskę i pomoc. Proszę cię jednak, dla dobra swojego i twojego, abyś o mnie zapomniał. Nie jestem częścią twojego życia i świata i nigdy nie będę. Pozwól mi żyć w spokoju.

- Z nim - mruknął Zhi Fu.

- Tak. Z Jacobem. Moim mężem.

Przez dłuższą chwilę mężczyzna wpatrywał się w Jianne. Wreszcie jego twarz wykrzywił już nie drapieżny, lecz blady, smutny uśmiech. Ukłonił się, odwrócił i wyszedł.

TLR

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

## *Singapur, dwa lata później*

Uwielbiał patrzeć na nią, zanim się obudzi. Wstawał nieco wcześniej niż ona i leżał obok niej, wpatrując się w nią intensywnie, chłonąc jej piękno, myśląc o niej - jego wciąż odrobinę tajemniczej żonie. W pewnym momencie unosiła powoli powieki. Na jego widok na jej ustach rozkwitał piękny uśmiech, który był obietnicą kolejnego wspaniałego dnia.

Byli dwa lata po odnowieniu przysięgi małżeńskiej, szczęśliwi, spełnieni i spokojni. Zhi Fu przestał nękać Jianne i powrócił do Szanghaju. Podobno niedawno się ożenił. Jacob i Jianne nie zostali zaproszeni na jego ślub.

Po zniknął nazajutrz po pożarze. Odnalazł się trzy dni później, na komisariacie. Był posiniaczony i pobity. Razem z nim była jego trzyletnia przyrodnia siostra i sześcioletni przyrodni brat. Matka Po od kilku lat nie żyła, natomiast ojciec okazał się tym, który z zemsty i nienawiści podpalił dojo. Wymiar sprawiedliwości zajął się ojcem Po, natomiast formalnym opiekunem jego rodzeństwa została ich babcia. Ojciec Po był jedynym żyjącym bliskim krewnym chłopca, zatem Jacob i Jianne, przy pomocy najlepszego adwokata w mieście, zdobyli prawo do opieki nad chłopcem aż do uzyskania przez niego pełnoletności. Zresztą, nawet kiedy dorośnie, nadal będzie ich chłopcem, prawdziwym Bennetem. Nieważne, czyja krew płynie w człowieku; ważne, do kogo należy jego serce. Po w ciągu tych dwóch lat stał się jeszcze mądrzejszy, bardziej utalentowany i zdeterminowany, by nieść pomoc innym i walczyć o ich prawa. Nadal jednak trenował karate i siał postrach nie tylko wśród rówieśników.

Dojo zostało odbudowane dokładnie w tym samym miejscu, w którym zostały po nim tylko zgliszcza. Budynek został unowocześniony i ulepszony: teraz znajdował się w nim parking podziemny, ogród na dachu, skrzydło dla dzieci, biuro Jianne oraz ładne pokoje gościnne dla rodziny i uczniów.

Jianne Xang-Bennett kochała swojego męża, a on karmił się tym uczuciem i uważał siebie za najszczęśliwszego mężczyznę na ziemi. Jego rodzina była dokładnie tym, czego zawsze najmocniej pragnął. Przyrzekł sobie, że nigdy tego nie straci.

Jacob wysliznął się spod kołdry, nie budząc Jianne, i przeszedł na palcach do sąsiedniego pokoju, w którym ktoś już nie spał. Tym małym „ktoś” była ich mała córeczka z ustkami jak płatki róży, lśnącymi, czarnymi włosami i oczami tak ciemnymi i pięknymi, że serce Jacoba rozplątało się, ilekroć w nie spoglądał. Nie miała jeszcze imienia. Nadal szukali takiego, które będzie równie piękne jak ona.

Przystawił jej palec pod nos. Dziewczynka zacisnęła na nim małe paluszki, po czym wsadziła sobie piąstki do buzi razem z palcem tatusia.

- Mała zgłodniała? - usłyszał za plecami głos Jianne, a po chwili poczuł, jak przytula się do niego od tyłu, nadal ciepła i trochę zaspana.

- Wiem. - Jacob spróbował wyrwać swój palec z rąk dziewczynki, lecz trzymała mocno i siłowała się z nim dzielnie. - Ma niezły chwyt.

- Po tatusiu.

- Na szczęście resztę po mamie - odrzekł, odwrócił się i pocałował Jianne w usta. - Piękno, inteligencję, wrażliwość...

Położyła palec na jego ustach.

- Niedługo skończą ci się wszystkie komplementy pod moim adresem. I co wtedy? - zapytała dramatycznie.

- Zaczęję je powtarzać od początku. Tyle że... po chińsku.

- Przecież nie znasz chińskiego!

- Spróbuję się nauczyć. Specjalnie dla ciebie. Może Po mi pomoże? - Spojrzał jej głęboko w oczy i dodał śmiertelnie poważnym tonem: - Dla ciebie, Jianne, zrobię wszystko.

Wiedziała, że mówi prawdę. Był to jeden z miliona powodów, dla których go kochała. I kochać będzie zawsze. Nawet jeśli Jacob mimo wszystko nigdy nie zdoła nauczyć się chińskiego...

